BIBLJOTEKA PAMIĘTNIKÓW Z POWSTANIA 1863 i 1864.

TOM PIERWSZY.

PAMIĘTNIKI POWSTAŃCA

z 1863 i 1864 roku.

(Bończa — Chmieliński — Bosak i Krzywda.)

wydał i przypisami uzupełnił

Zygmunt Lucjan Sulima.

Exoriare aliquis ex ossibus nostris ultor....

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 943

LWÓW
KSIĘGARNIA POLSKA.
1881.

Sul
Pam
943
92(Pozn)

SN 22941

Z drukarni „Gaz. narod." J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

94(438).071;929-051

Bończa.

I.

Treść: Wstęp — wieści — mój wyjazd z Warszawy — pobyt u rodziców — napad na żandarmów w Grodzisku—chybiona formacja oddziału— rzeź w lasach Bolimowskich — oddział Rawski— Bończa — historja oddziału Drewnowskiego — formacja oddziału Bończy i jego przeznaczenie — marsze po Krakowskiem i Opoczyńskiem — Nowe miasto i zabranie kasy.

Będąc uczestnikiem zbrojnego powstania w 1863 r. i włócząc się po kraju z różnemi oddziałami przez ciąg piętnastu miesięcy, spisałem z całą sumiennością i rzetelną prawdą te wypadki, w których brałem udział, na które patrzałem własnymi oczyma, lub o których miałem dokładne wiadomości. Do spisania takowych miałem dwa powody, a mianowicie: sprostowanie faktów przekręconych przez nieprzyjaciela nieraz nie do poznania, nagiętych i urobionych stosownie do jego widoków i potrzeb, a zawsze z celem wystawienia całego powstania w najgorszem świetle, a powstańców jak zgrai rozbójników, oraz przekonanie, że wszelkie fakta odnoszące się do historji narodu, podane rze-

telnie, mają zawsze pewną wartość, jeżeli nie ogólno społeczną, to jako materjał historyczny, często poszukiwany nadaremnie i bezskutecznie. Pamiętniki te piszę nie z zarozumiałością historyka a nawet literata, gdyż do poglądów krytyczno-historycznych i obrobienia literackiego, nie mam najmniejszej pretensji, notowałem same fakta i wypadki osobiste, pozostawiając rozbiór przyczyn i smutnych następstw powstania, ludziom więcej wtajemniczonym w działania rządu narodowego i posiadającym w tym względzie odpowiednią znajomość rzeczy.

W końcu stycznia 1863 r. zaczęły obiegać po Warszawie głuche z początku wieści o zbrojnem wystąpieniu narodu, o formujących się w różnych stronach kraju oddziałach i urządzonych na wroga napadach. Wieści te co dzień, co godzina prawie rosły, olbrzymiały, burząc w młodzieży nieostygłą jeszcze od przedwstępnych demonstracji krew i rozniecając szalony zapał, pobudzały do ogólnej prawie emigracji i szukania na polu bitwy sławy i wywalczenia upragnionych swobód. Jako chłopak dwudziestoletni, żywego temperamentu, gorącej wyobraźni, nic dziwnego, że dałem się porwać ogólnemu prądowi, i w początkach lutego wyjechałem z Warszawy, celem połączenia się z jednym z formujących się oddziałów w głębi niedostępnych puszcz, wśród mrozów i zasp śniegowych. Powodem do tej ostrożności była nie tyle ogłu-

piała na razie Moskwa, ile nieufność do ludu wiejskiego, który pomimo pewnego przygotowania przez wysłanych na ten cel agentów, dzięki nieumiejętnemu i niepolitycznemu jak zwykle postępowaniu szlachty, nie ufał bratnim, tyle razy niedotrzymanym obietnicom i na przesuwających się powstańców patrzał podejrzliwie, a czasem nawet i złowrogo.

Po drodze wstąpiłem do rodziców mieszkających o parę mil od Warszawy. Odkrywszy im swój zamiar, znalazłem ich nadspodziewanie przygotowanych i nie robiących żadnych trudności. Poczciwe ojczysko wziął mnie na stronę i rzekł:

— Idziesz walczyć za kraj, dobrze, nie bronię ci tego -- ale pamiętaj, że nie po to idziesz, aby cię kraj próżno żywił, abyś był darmozjadem, ale abyś oddał istotną posługę. Jeżeli przeto nie czujesz w sobie dostatecznej odwagi i masz skalać się tchórzostwem, lub nie daj Boże zdradą, to lepiej pozostań — przykroby mi było niewymownie, gdybym zmuszony był traktować cię z pogardą lub rumienić się za swego syna. Pamiętaj, że ci to mówi ojciec, który cię bardzo kocha.

Pocałowałem ojcowską rękę, dziękując za radę i zapewniłem, że podejrzenia jego nigdy się nie sprawdzą, czuję bowiem w sobie dosyć męztwa i odwagi, aby nie być tchórzem i zdrajcą. Biedny szaleniec! głowa się paliła. Iluż to było szaleńców podobnych mnie.

Matka, kochana matka tłumiąc w sobie

łzy i błogosławiąc, zawiesiła na moich piersiach medalik Matki Boskiej, prosząc aby mnie nigdy nie odstępował, co też w istocie wypełniłem.

W domu zabawiłem kilka dni, przygotowując się i zaopatrując w przedmioty nieodzowne do nowego zawodu. W ciągu tych kilku dni partje warszawskich wychodźców przechodziły przez naszą wieś nocami, nie zatrzymując się wcale, w kierunku Opoczyńskiego i Rawskiego, powiększając się w drodze napływem różnego stanu młodzieży, z wyjątkiem chłopstwa, które dobrowolnie prawie nigdzie nie wstępowało w szranki bojowników.

Dnia 13. lutego w nocy, odebrałem zawiadomienie, w rodzaju polecenia, przybyć do Grodziskiej karczmy, na godzinę 12 w nocy następnego dnia. Nie rozbierając przyczyn podobnego wezwania, cały rozgorączkowany panującym w powietrzu szałem, nęcony tajemniczością przedsięwzięcia, chociaż w części domyślałem się o co idzie, na drugi dzień o naznaczonej godzinie, czekałem we wskazanym punkcie. Karczmarz miejscowy widać był uprzedzony, gdyż późne moje odwiedziny wcale go nie zadziwiły, zaproponował mi nawet gościnnie posiłek z wódki i jajecznicy. Po półgodzinnem może oczekiwaniu, usłyszałem tentent przed karczmą, a za chwilę potem wszedł, znany mi z widzenia p. B***, dziedzic niedalekiej wioski, ze swym bratem i niejakim p. Józefem. W krótkich słowach p. B*** objawił nam cel zebrania, szło bowiem o rozbrojenie dwóch żandarmów konsystujących

na kolei żelaznej, którzy na wszystkich innych stacjach tejże samej nocy, mieli uledz podobnemuż losowi.

— No, w imię Boże, rzeknie p. B***, jest nas czterech bezbronnych a dwóch oręźnych, przedsięwzięcie powinno nam się udać skutecznie, ruszajmy!

Noc była ciemna, choć oko wykol, śnieżek na wpół z deszczem ciął nas po twarzy a wicher przeraźliwe zawodził tony, jak gdyby ciągłą swą harmonją, chciał mocniej uspić zagrożonych nieprzyjaciół. Ostrożnie postępując i nikogo nie spotkawszy na drodze, przybyliśmy do stacji, gdzie w stojącym opodal letnim pałacyku mieli kwaterę żandarmi.

W korytarzu Józef zapytał p. B***, czy nieprzyjaciela oszczędzać, czy nie pardonować choćby nawet po poddaniu się. P. B*** odrzekł, że nie przyszedł tu jako morderca, i zabije wtenczas nieprzyjaciela, gdy sam będzie zagrożony.

Widocznem było, że Moskwa nieprzypuszczała lub nie miała pewnych wiadomości, aby formowało się w kraju zbrojne powstanie; dowodem tego było pozostawienie drobnych komend wojskowych na dawnych posterunkach i zupełna ich nieostrożność, drzwi bowiem prowadzące do pokoju żandarmów były niezamknięte a oni sami rozebrani spali tak spokojnie jak za czasów Paszkiewicza...

Pochwyciwszy broń stojącą obok nich, zaczęliśmy ich budzić ze słodkiego snu. P. B***

zapalił świecę. Z początku nie pojmowali o co chodzi, ale gdy zobaczyli swą broń w naszych rękach i zastanowiwszy się nad dziwną i niezwykłą wizytą, zaczęli pojmować o co idzie. Oporu stawiać nawet nie próbowali a p. B*** objaśnił im, że są rozbrojeni przez powstańców polskich i nakazał im pod utratą życia do godziny ósmej rano nie wychodzić z kwatery. Z początku nie pojmowałem tego rozkazu, później jednakże przekonałem się, że miał swoją podstawę, a mianowicie, przeszkodzić im żeby nie telegrafowali a tym sposobem nie dozwolić sparaliżowania podobnych napadów po innych miejscach. Nasi niewolnicy tak byli oszołomieni gwałtownością napadu, trwogą i niezwykłem zjawiskiem, że pokornie obiecali a nawet przysięgli spełnić polecenie z całą akuratnością, prosząc przytem o pozwolenie wyjazdu do Warszawy. Przekonaliśmy się później, że obietnicy swej dotrzymali sumiennie, punkt o 8-mej wyszli ze swych kwater i nie czekając pociągu, piechotą udali się do Warszawy.

Powróciwszy do karczmy z powrotem, p. B*** oświadczył nam, że ma polecenie Rządu Narodowego na formowanie zbrojnego oddziału, i że nas uważa jako zawiązek takowego i ma nadzieję, że do 4-ch doda niedługo zero, potem drugie, trzecie i tak dalej i w końcu nie będziemy kryć się po lasach jak opryszki, ale śmiało, z wiarą w zwycięstwo i słuszną sprawę, zajrzymy w oczy wrogowi, rugując go z naszych ziem i miast ze szczętem. Po tej zachęcającej

przemowie, dumni w części z dokonanego czynu rozbrojenia nieprzyjaciela, ruszyliśmy do Osuchowa pomiędzy Mszczonowem a Grodziskiem, gdzie naznaczony był ogólny punkt zborny dla formowania oddziału i gdzie wedle dostawionych przez agentów Rządu Narodowego wiadomości, miała już oczekiwać spora gromada młodzieży, po części uzbrojonej.

Przybywszy do Osuchowa, doznaliśmy smutnego rozczarowania, dowiedzieliśmy się bowiem, że zebrało się rzeczywiście około 30 ludzi, ale po walnej naradzie, trochę zaznawszy zimna i głodu, uznali za stosowne powrócić do ciepłych łóżek i dobrego stołu; nie pozostał ani jeden. Polacy są dobrymi żołnierzami, ale nie trzeba im dawać próżnować, w pierwszych porywach, pod wpływem wrażeń, gotowi są cuda działać, w rozmyślaniu zaś bezczynnem tracą bardzo prędko energję i stałość charakteru. O tej prawdzie powtarzanej tyle razy jeszcze przez przodków naszych, przekonałem się dowodnie i naocznie w nieszczęśliwej ostatniej ruchawce.

B*** wściekał się z początku ze złości, groził, że tchórzom w łby będzie strzelał po kolei, ale w końcu ochłódł i uznał, że organizacja oddziału tak blisko Warszawy prowadzoną być nie może z należytym skutkiem, gdyż każdej chwili Moskwa może napaść na bezbronnych i wyrznąć jak baranów; wystosowawszy więc stosowną odezwę do kogo należało, oświadczył nam, że pojedzie w Krakowskie, gdzie oddziały były już dosyć znaczne co do liczby i za-

opatrzone w należytą broń — i pojechał — ale do domu.

Taki był początek jak tu, tak i wszędzie prawie, zbrojnego powstania. Ociąganie się, brak należytej, prawdziwej energji i silnej woli, różne przeróżne względy i każdego oddzielne zapatrywanie się na stan rzeczy w pierwszych chwilach najważniejszych w każdej rewolucji, w której każda minuta niespożytkowana należycie, ginie bezpowrotnie, a często obraca się na złe i własną szkodę, paraliżowało początki powstania najniekorzystniej w świecie, wystudzało potroszę ten zapał, który rzeczywiście nieraz stwarza rzeczy niemożebne, a co najważniejsza wszystkie te błędy dodawały otuchy wrogowi, w pierwszej chwili strwożonemu i będącemu tego przekonania, że ma do czynienia nie z garstką zapaleńców i awanturników, ale z całym narodem, strasznym, bo zrozpaczonym!

Po dokonaniu owej wyprawy na żandarmów i zmianie projektu co do formacji oddziału, powróciłem do domu niezachwiany w swoich zamiarach wystąpienia czynnie, czekałem tylko przyjaznej okoliczności. Miałem zamiar przyłączyć się do wychodzących z Warszawy, lecz partje tych wychodźców, tak jakoś dziwnie i tajemniczo prześlizgiwały się, żem nie mógł nigdzie żadnej napotkać. Wychodzili zwykle nocami, przez okopy i maszerowali do rana.

W trakcie tego oczekiwania doszła nas wiadomość, że w lasach Bolimowskich, około Skierniewic, napadniętą została przez Moskali

partja formujących się powstańców pod dowództwem jakiegoś Litwina, i po części zostali wymordowani, po części zabrani do niewoli *). Na owych biedaków wysłaną była z Warszawy gwardja litewskiego czy też wołyńskiego pułku, która prawdziwie po rycersku się popisała, mordując bezbronnych i dzieciaków, dużo bowiem w tej partji było uczniów gimnazjum warszawskiego.

Wieści te potrwożyły na chwilę mniej zapalonych, ale wychodzące wtedy gazetki narodowe, mianowicie: „Strażnica“, zakomunikowaniem zwycięztw odniesionych w innych częściach kraju przez powstańców, rychło wygluzowały z pamięci klęskę Bolimowską.

Nareszcie doczekałem się w początkach marca upragnionej sposobności. Oddział Warszawiaków liczący ze 100 ludzi, przechodził przez naszą wieś. Po serdecznem pożegnaniu z rodzicami i powtórzeniu przez ojca obowiązków dobrego żołnierza i Polaka, złączyłem się z partją i zaraz wyruszyliśmy nocą dalej. W drodze dowiedziałem się, że wskazano im Rawskie, gdzie są przeznaczeni do oddziału mającego się formować pod nazwiskiem województwa Rawskiego.

Nad ranem przybyliśmy do Popiel pod Mszczonowem. Mróz dochodził do 10 stopni, polokowaliśmy się po stajniach, owczarniach, jak któren mógł, dużo bowiem było biedaków

*) Rzeź Bolimowska miała miejsce d. 7. lutego 1863 r. (Przyp. wydawcy).

mizernie odzianych, których w pochodzie chyba grzał zapał patrjotyczny i nadzieja zbliżającej się wiosny.

Na drugi dzień rano przybył do nas jakiś obywatel i wskazał nam kwatery po kilku i kilkunastu, po różnych wsiach w promieniu jednomilowym, dodając, że o czasie i miejscu zebrania będziemy powiadomieni, dotąd zaś, prosił nigdzie nie oddalać się bez rozkazu. W marcu już powstanie tak się posunęło, że nie po lasach, zaroślach, ale po wsiach i miasteczkach jakby w czasie pokoju powstańcy stali na kwaterach.

Oczekiwaliśmy na broń i umundurowanie. Przeszedł jeden tydzień, drugi i trzeci w ciągłem oczekiwaniu ogólnego zebrania i wystąpienia, ludzi przybywało coraz więcej, których rozkwaterowano tak samo jak i nas po wsiach i miasteczkach. W końcu czwartego tygodnia, nie jeden gorętszej krwi, żądny bojów i niebezpieczeństw, poczynał się niecierpliwić, tembardziej że o walkach Langiewicza, Jeziorańskiego, Mierosławskiego dochodziły nas wieści ze wszech stron, które podawane z ust do ust potęgowały się i wystawiały je jako wielkie zwycięztwa i tryumfy.

Bezczynne siedzenie po chałupach przyprowadzało nas do rozpaczy. Nadszedł wreszcie i kwiecień, a rozkazu do zebrania jak nie ma tak nie ma i już przemyślaliśmy w kilku ruszyć bez rozkazu w Krakowskie, gdy jednego dnia

dano nam znać, że niedaleko w lesie stoi partja powstańców, zdążająca w Opoczyńskie.

Bez namysłu i nie bacząc na rozkaz wyruszyliśmy bezwłocznie do nowych towarzyszów; zastaliśmy ich w lesie pod Osuchowem. Oddział składał się z 200 ludzi, po większej części Warszawiaków, uzbrojonych w kije i proste lance, sporządzone w czasie marszu, ja jeden byłem uzbrojony w pałasz żandarmski i pistolet bez nabojów. Oddziałem tym dowodził jakiś pan Ki... były ruski burmistrz, figura wielce zagadkowa i nieokreślona, i tego samego dnia ruszyliśmy dalej ku Mogilnicy. Tutaj przyznać się muszę, że niesubordynacja, krzykliwość całej tej hałastry, złożonej z ludzi różnego stanu, i dziwnie coś nie wojskowego w postaciach malców 15 i 16 letnich, zaczęły niekorzystnie oddziaływać na mój zapał i wyobrażenia i mimowolnie cisnęły się przypuszczenia smutnych następstw. Popłoch jakiemu cały oddział uległ, zobaczywszy na górach konnego człowieka, którego wzięto za kozaka, i pierzchanie w panicznym przestrachu, dowiodło mi, że na siłę oręża i odwagę osobistą takich wojaków nie wiele można rachować; wprawdzie na usprawiedliwienie ich można przytoczyć tę okoliczność, że był to naród bezbronny.

Przypuszczenia te odpędzałem od siebie wszelkiemi siłami, czułem jednakże instynktownie, że sami, z ludźmi niewyrobionymi, bez pomocy obcej, nic nie zrobimy i zakończy się ta komedja bardzo smutnym finałem.

Takie myśli przechodziły przez głowę chłopca dwudziestoletniego, gorącej wyobraźni i nie lubiącego zastanawiać się na raz obranej i upragnionej drodze. Niestety! przeczucia moje spełniły się w prędszym jak myślałem czasie.

Po dwóch dniach marszu, radośnie będąc witani po drodze i gościnnie podejmowani, przybyliśmy pod Nowe Miasto nad Pilicą i ulokowaliśmy się w lesie, z tamtej strony rzeki, w prawdziwej puszczy, gęstej, nieprzebytej i niezmiernie obszernej — w owe bowiem czasy, bory poczynające się od Nowego Miasta, ciągnęły się nieprzerwanem prawie pasmem aż pod Sandomierz i Św. Krzyż, na przestrzeni od 20 do 30 mil — i to lasy odwieczne, niebotyczne, gdzie może siekiera człowieka nie postała. Na miejscu znaleźliśmy przygotowaną żywność dla siebie i koni — i każdy otuliwszy się czem mógł, a zimno było przenikliwe, legł na spoczynek. Pierwszy to był mój nocleg pod gołem niebem. Pomimo utrudzenia wskutek całodziennego marszu, usnąć nie mogłem. Przyzwyczajonemu do wygodnego i ciepłego łóżka, zmiana taka przypaść do gustu nie mogła, i zaledwie nad ranem udało mi się zdrzemnąć. Czy drudzy również uczuli w całej swej mocy niewygody życia obozowego — nie wiem, ale prawdopodobnie że tak, gdyż całą noc słyszałem gwar około wielkiego ogniska i ciągłą gawędę. Na drugi dzień, około 10tej rano, usłyszeliśmy tentent zbliżającej się konnicy; powstała z początku trwoga — rychło jednakże, uspokojona

wiadomością, że to kawalerja narodowa. Jakoż w istocie, ujrzeliśmy około dwudziestu jeźdźców, uzbrojonych należycie, a na czele człowieka dobrego wzrostu, mocno zarośniętego, w którym mimowolnie każdy z nas poznał dowódcę. Był to Bończa, czyli właściwie Tomaszewski, b. oficer wojsk moskiewskich. Po krótkiej przemowie, zachęcającej nas do chwały, zalecając przedewszystkiem posłuszeństwo bez granic i karność wojskową, bez czego żołnierz nie jest żołnierzem, Bończa zajął się rozsegregowaniem ludzi; jednych naznaczając do kawalerji, probując ich zdolności, t. j. czy umieją jeździć — i takich znalazło się bardzo niewielu — a drugich odsyłając do piechoty. Jako mieszkaniec wsi, umiałem nieźle siedzieć na koniu, zaliczony więc zostałem do kawalerji, której liczba po skompletowaniu wynosiła 70 ludzi. Pozostałych 150 odprawił z powrotem do Drewnowskiego, formującego oddział, tak nazwany Województwa Rawskiego, z którego właśnie drapnąłem, nie mogąc znieść bezczynności i nudów.

Oddział ten, jak się poźniej dowiedziałem, wzrósł do 2000 ludzi i nic nie zdziaławszy, nie wystąpiwszy nawet w pole, pomimo uzbrojenia i umundurowania, dla niewiadomych mi przyczyn, został przez Drewnowskiego rozpuszczony niespełna w miesiąc, a ludzie rozbiegłszy się po kraju, powstępowali do innych oddziałów, lub dawszy za wygraną, powrócili do domów. O ile słyszałem od obywateli z Rawskiego, oddział ten najwięcej może kosztował

pieniędzy i trudu z całego powstania — zakrawał na dużą i regularną armię, a nie oddał usług małej placówki. Było przygotowane umundurowanie kompletne na 3000 ludzi i umontowanie na 200 koni — broń w należytej ilości sprowadzona z Austrji i Belgji, poczęści została rozdana innym oddziałom, a poczęści zabrana przez Moskwę ze składów. Oddział ten formował się potem powtórnie, ale z takimże samym skutkiem. Widocznie ludzie, składający organizację cywilną tego województwa, nie szczędząc pieniędzy, nie umieli się wziąć do rzeczy.

Wybrani przez Bończę do kawalerji, byli po większej części młodzi synowie obywatelscy i w ogóle mieszkańcy wsi, a słabością ogólną w całem powstaniu było należeć do konnicy. Ludzie, którzy nigdy nie próbowali nawet konnej jazdy, nie wiedzieli z której strony dosiadać konia, darli się prawie gwałtem, nie patrząc na swoje niedostatki pod tym względem, do pułków kawalerji — to też bardzo często się zdarzało, że w potyczkach największą stratę ponosiliśmy w ludziach, którzy nie umieli jeździć i których konie, jako nieużyteczny ciężar, zrzucały.

Z lasu wyruszyliśmy na folwark Wysokin i staliśmy tu kwaterą około dwóch tygodni — w ciągu tego czasu zajmując się musztrą i obrotami wojennemi, jak również strzelaniem do celu i w ogóle poznaniem elementarnych zasad, niezbędnych dla każdego żołnierza. Tutaj przyobleczono nas w mundury, pierwsze w powsta-

niu, składające się z czerwonych koszulek, niebieskich spodni i białych konfederatek. Mundury te były prawda niekosztowne, ale też i niepraktyczne, koszulki bowiem tak nazwane „garibaldki“ były szyte z tybetu, materjału nadzwyczaj nietrwałego i nieodpowiedniego naszemu klimatowi; gdzieś pod gorącem niebem Italji mogły być dobre i praktyczne, ale w Polsce, w kwietniu, gdzieby przydały się nieraz kożuszki, były po prostu strojem śmiesznym, niewygodnym i po miesiącu noszenia zdatnym tylko na śmiecie. Kto nie miał ze sobą cieplejszego ubrania, dniami i nocami dygotał od zimna w nowych mundurach, a iluż to było takich biedaków, którzy pod bluzką nie mieli koszuli.

Broń nam nadesłano w dostatecznej ilości, pałasze długie, proste, w żelaznych pochwach, austrjackie — i lance, oprócz tego pistolet lub rewolwer. Później nawet nadesłane nam zostały karabinki małe, kawaleryjskie.

Przez czas pobytu w Wysokinie, napływem ciągłym ochotników oddział powiększył się do 200 ludzi, dobrze uzbrojonych, należycie umundurowanych i na dobrych koniach — a zaprowadzony ład i obeznanie się w części z obrotami wojennemi, nadawało oddziałowi militarną postawę i czyniły wrażenie regularnego wojska. Niestety! przeznaczono go na przeciąganie po kraju w różnych punktach — obowiązany był mieć nadzór nad miejscowościami zagrożonemi przez nieufne chłopstwo, prześladować źle myślących i niechętnych a unikać ile możności

utarczek z wojskami moskiewskiemi, czyli po prostu pełnić funkcją żandarmerji wieszającej, jak ją zwali Moskale. O przeznaczeniu tem długi czas nie wiedzieliśmy, gdyż niejeden byłby może wystąpił i przeniósł się do innego oddziału więcej czynnego — a staranne unikanie Moskwy i ciągłe przewłóczenie się z Opoczyńskiego w Rawskie, z Rawskiego w Krakowskie i t. d., uważaliśmy jako zgodne z wyższemi planami i potrzebą wyczekiwania, dopóki siły całego kraju tak się nie rozwiną i nie zorganizują, że będą czuły się na siłach wystąpienia do walki z wrogiem i mieć szanse powodzenia. W ciągu tego czasu o Moskwie nawet nie słyszeliśmy — pozostawili nas w zupełnej swobodzie. W owych bowiem czasach tyle się formowało oddziałów po różnych stronach kraju, tyle mieli sprzecznych i przesadzonych nieraz doniesień o siłach, zasobach i ogólnym zapale, że nie wiedzieli w którą stronę skierować się najprzód — siły zaś mieli w królestwie bardzo niewielkie, drobić ich zatem na małe oddziały i osłabiać pewne punkta, obawiali się — sądzę przeto, że o formowaniu się naszego oddziału w Wysokinie mogli nie wiedzieć.

Po dwóch tygodniach pobytu w Wysokinie wyruszyliśmy do Nowego Miasta, gdzie ludność witała nas z entuzjazmem i niekłamaną radością. W kościele XX. Kapucynów wysłuchaliśmy mszy św. i odśpiewali hymn „Boże coś Polskę“. Cała ta uroczystość, przy napływie niesłychanej masy narodu, miała w sobie coś niewymownie

poważnego i przejmującego — a radość mieszkańców na widok polskiego żołnierza nie miała granic. Niejednemu zdawało się, że widzi Polskę odbudowaną, po staremu sięgającą swemi granicami Bałtyku i morza Czarnego, że żołnierz ten, którego miał przed sobą, będzie niezwyciężonym — i na ten temat marzył długo i rozkosznie — snuł w swej imaginacji obrazy cudowniejsze jedne od drugich, nie przypuszczając ani na chwilę, aby jego złote sny nie miały się co do joty spełnić — taki był ogólny szał czy zaślepienie. Ojciec mój, pamiętający rewolucją 31. roku, mówił mi, że ani połowy tego zapału nie było wtenczas, przeciwnie dużo nawet było nieukontentowanych — a co do ofiar poniesionych w darze na ołtarz ojczyzny, rewolucja 1831 r. nie mogła iść w porównanie z powstaniem 1863 r. Zdawało się, że każdy tak był pewny tego lepszego jutra, tak zaufany w niezawodne powodzenie i oczekiwany oddawna rezultat, że poprzestał rachować i obliczać — i z widocznem nadwerężeniem swej fortuny, przykładał się do ogólnej sprawy, rzucając szczodrą ręką ciężko zapracowany grosz, chociaż ta chwila szału i zgubnej pewności przeminęła niedługo — w miesiącu sierpniu i wrześniu ostygł ten zapał znacznie i czułeś nieraz obojętność i zniechęcenie.

W Nowem Mieście egzystował wówczas magazyn solny. W kasie było 11 tysięcy złp., które Bończa zabrał, wydawszy stosowne pokwitowanie miejscowym urzędnikom. Czy ono dostatecznym było dowodem dla władzy? czy za-

słoniło tych ludzi od odpowiedzialności? nie wiem. Już to w powstaniu najnieszczęśliwsi byli urzędnicy małych miasteczek, posądzani o zdradę przez powstańców i prześladowani przez Moskwę za brak gorliwości — a bywało tak, że niejeden przypłacił szubienicą lub Sybirem, stosownie jak okoliczności go postawiły winnym w oczach jednych lub drugich.

Z Nowego Miasta wyruszyliśmy w Krakowskie kwaterując swobodnie po wsiach i miasteczkach przez cały kwiecień i maj. Moskwa nawet nie kusiła się prześladować nas. Czy to wypływało z przekonania o wielkich naszych siłach, czy też, co jest prawdopodobniejsze, pozwalali umyślnie na formowanie oddziałów, aby kraj wyniszczył się więcej materjalnie, a tem samem popadł na długie lata w nędzę i idący zatem spokój — dosyć, że najspokojniej przechodziliśmy wzdłuż i wszersz całe Opoczyńskie, Krakowskie i Sandomierskie, nigdzie nie widząc śladu nieprzyjaciela. Niejeden zaczynał wątpić, czy Moskale są w kraju.

Taki był stan rzeczy, gdy zaszły nowe wypadki. Nim jednak do ich opisu przystąpimy, należy nam wprzódy rzucić okiem na stan powstania w innych częściach kraju.

II.

Treść: Langiewicz i jego oddział — Małogoszcz i Grochowiska — bitwa Mielęckiego pod Tartakiem — bitwa pod Brdowem — Callier — Litwa — utarczka w Rusanowie i pod Przysuchą — Oksiński pod Koniecpolem — egzekucja we wsi Lipie — zachowanie się chłopów — Stamirowski i jego śmierć.

W miesiącu maju z oddziałów partyzanckich jak Langiewicza, Jeziorańskiego, Kononowicza odgrywających w początkach tak ważną rolę, na których, mianowicie na Langiewicza, okrzykniętego po bitwie Małogoskiej dyktatorem w Goszczy zwrócona była uwaga całego kraju, nie pozostało i śladu.

Oddział Langiewicza największy może w całem powstaniu, bo rachujący razem z Jeziorańskim około 5 tysięcy ludzi, po utarczkach pod Wąchockiem, św. Krzyżem — po krwawej bitwie pod Małogoszczem, gdzie około 400 ludzi było zabitych i rannych a drugie tyle dostało

się do niewoli *), po świetnem zwycięztwie pod Grochowiskami, przestał istnieć. Langiewicz rzucając wszystko w towarzystwie kawalerzystów przeszedł granicę i chwycony przez Austrjaków, tak błyskotnie rozpoczętą karjerę zakończył w Iglawskiem więzieniu, widocznie uważając tę przystań, pomimo więziennej wilgoci, bezpieczniejszą od niepewnych skutków wojny.

Rozbicie tego głównego i największego oddziału, pomimo zwodniczych biuletynów Rządu Narodowego, osłabiło znacznie ducha narodu i przekonanie co do męztwa nowego żołnierza, aczkolwiek rozbicie pierwotnych oddziałów nieuzbrojonych prawie, było do przewidzenia i tylko zapaleńcy i szaleni, mogli mieć nadzieję zwycięztwa nad wojskiem regularnem, a odezwy wychodzącej wtedy „Strażnicy," zachęcającej powstańców do brania armat kijami i szarpania wroga zębami, mogły być wykonane, ale na papierze. W bitwie pod Małogoszczem, wedle zapewnień naocznych świadków, zginęło bardzo wiele najznakomitszej w kraju młodzieży, kwiat inteligencji, która chociaż bezbronna, poczytywała sobie za ujmę honoru uciekać przed wrogiem i literalnie wypełniając zalecenia „Strażnicy," kąsała zębami nieprzyjaciół i została wymordowaną. Siły Moskwy pod Małogoszczem były przeważniejsze, nie mówiąc już o doskonałem

*) Według raportów moskiewskich, pod Małogoszczą, zabrano powstańcom 2 armaty; o jeńcach mowy niema. Bitwa miała miejsce d. 24. Lutego 1863 r.

uzbrojeniu, musieli więc mieć przewagę. W bitwach Langiewicza głównie odznaczał się tak męztwem jak i umiejętnem prowadzeniem ludzi do boju, oficer francuski Rochebrun. Jemu właściwie przypisują zwycięztwo pod Grochowiskami, gdzie Moskale stracili około 200 rannych i zabitych, jak sami ogłaszali w swoich raportach i zmuszeni byli cofnąć się w największym nieładzie.

Oddział Kononowicza czyli Opoczyński, powstały z rozbitków Langiewicza, formował się umundurował, lecz w końcu nie doczekawszy się broni i napadnięty przez Moskali, został rozproszony a sam Kononowicz znikł z horyzontu powstańczego. W Samsonowskich tylko lasach około Suchedniowa, trzymał się ze swym oddziałem Czachowski, starzec waleczny i zagorzały do szaleństwa.

W innych stronach kraju, drobne oddziały powstańcze jak Padlewskiego w Płockiem, Mierosławskiego w Kujawach, Sokoła i Zameczka w Podlaskiem, również zostały rozproszone wyjąwszy oddziału Mielęckiego w Konińskiem, który nie tylko, że nie zotał rozbity, ale odniósł zwycięstwo i zmusił Moskali do cofnięcia się. Bitwa ta miała miejsce d. 22. marca 1863 r. w lasach kazimierzowskich, pod wsią Tartakiem około Konina. Mielęcki miał 300 ludzi pieszych, został napadnięty przez dwie roty, dowodzone przez Witgensteina i pomimo przeważnej liczby nieprzyjaciela, złego uzbrojenia, tak walecznie natarł na wchodzących do lasu Moskali, że zmu-

sił ich do ucieczki. Sam, już po bitwie wyjechał osobiście na rekonesans i został ranny przez zaczajonego gdzieś żołnierza. Z rany tej w kilka miesięcy umarł. *)

Oddział Taczanowskiego pod Nową wsią w Kujawach, składający się z 1800 ludzi, po dzielnej obronie, jak to sam nieprzyjaciel przyznawał, został rozbity i rozproszony, a sam Taczanowski schronił się w Poznańskie, gdzie zajął się formowaniem kawalerji.

Pod Brdowem za Włocławkiem złączone trzy oddziały Oborskiego, Zajfryda i Junga, wynoszące 3 tysiące ludzi, także zostały rozbite. Była to może jedna z najkrwawszych bitew w powstaniu, liczono z naszej strony 500 ludzi w zabitych i rannych, między którymi był i sam Jung. Moskale ponieśli daleko mniejsze straty.

W Łęczyckiem rozbity został pod wsią Dobra, pomiędzy Zgierzem a Strykowem oddział Sawickiego, eksksiędza czy kleryka, składający się z 600 ludzi, po części nieuzbrojonych. Niemcy koloniści z pod Łodzi naprowadzili Moskwę w sam środek prawie obozu, zabito 80 lu-

*) Bitwa pod Tartakiem stoczona była d. 22. marca 1863 r. Właściwie prowadził ją nie Mielęcki ale Callier który wówczas w jego oddziale służył. Po kilkogodzinnej dzielnej obronie Callier ciężko ranny musiał porzucić oddział, zaraz też bitwa skończyła się. Mielęcki tego samego dnia napadnięty pod Slesinem stracił swój oddział i tam otrzymał ranę. Szczegółowy opis bitwy pod Tartakiem czytaj w książce «Trzy ustępy z powstania — Poznań 1868 r.«

dzi, drugie tyle było rannych a 200 wzięto do niewoli. Moskale byli pod wodzą Oposzyńskiego, majora z Piotrkowa. Dowódzca Sawicki przed bitwą uciekł z obozu, i we wrześniu za kradzież i rabunek został powieszony przez powstańców.

Jednocześnie z tem rozbity został niewielki oddział w Gostyńskiem pod wodzą Orłowskiego, eksoficera wojsk moskiewskich. Sam Orłowski przyparty na cmentarzu w Śleszynie przez kozaków kubańskich, strzelił sobie w łeb. Oddział rozpierzchł się zupełnie.

Taki był stan rzeczy w maju 1863, a wiosna ze swojem ciepłem słońcem, nanowo rozbudziła zapał w rozpierzchłych powstańcach. Dostatek broni, sprowadzanej obficie, dawał jakąś pewniejszą rękojmię, choćby obrony osobistej na wypadek zetknięcia się z nieprzyjacielem i pewnej szansy. Skupiano się przeto na nowo i formowano szybko już to piesze, już konne oddziały, z nową energją i zupełnem zapomnieniem dawnych klęsk.

W Krakowskiem do najznaczniejszych liczył się oddział Oksińskiego i Chmielińskiego, w Lubelskiem, Lelewela, Krysińskiego, Jankowskiego, w Kaliskiem, Taczanowskiego — w Płockiem, Padlewskiego, jednego może z najzdolniejszych oficerów ale nie dla powstania, w Łęczyckiem Dworzaczka, Syrewicza – w Warszawskiem, Callier'a. Nawet z Litwy dochodziły nas wieści o licznych powstańczych oddziałach pod wodzą Narbuta, Sierakowskiego i Zygmunta Trau-

guta. Cały kraj był w ogniu. Wszyscy ci dowódzcy uwijali się ze swymi oddziałami, staczając jedni z większem, drudzy z mniejszem szczęściem potyczki i bitwy. Rozbijani łączyli się na nowo i wyrastali jak grzyby po deszczu, a nauczeni doświadczeniem przyjęli taktykę czysto partyzancką, nie napadali, ale przeciwnie unikaniem starannem nieprzyjaciela, starali się go męczyć i znękanego przy sposobności napadali i urywali *)

Nasz oddział po dawnemu musztrując się i przeciągając z miejsca na miejsce, przez dwa miesiące prawie nie był zaczepiony przez Moskwę. Jakoś w końcu maja stanęliśmy w Rusanowie w Opoczyńskiem, dla popasu koni — w pół godziny może wpada żołnierz, stojący na pikiecie z wiadomością, że idzie piechota moskiewska. W okamgnieniu byliśmy już na koniach — i czwórkami, z bronią do ataku, ruszyliśmy w kierunku nieprzyjaciela. Wyjechawszy za wieś, ujrzeliśmy na podwodach, w odległości może trzech wiorst, moskiewską piechotę, liczącą ze 200 ludzi, z kilkunastoma kozakami na przedzie, zdążającą do miasteczka Gielniowa. Widocznie nas spostrzegli, gdyż woźnice poczęli

*) Niestety, w rzeczywistości nie tak było, jak utrzymuje szanowny autor. Nasi dowódzcy wprawdzie unikali starannie nieprzyjaciela, ale nie po to, żeby znękanego potem napadać, urywać i zniszczyć. Nie była to więc w żadnym razie taktyka partyzancka. Trzymanie się odporne, w nadziei obcej pomocy, wiele istotnych szkód powstaniu przyniosło. (przyp. wydawcy.)

smagać szkapy batogami. Bończa krzyknął: marsz! marsz! i jak huragan puściliśmy się naprzód. Dojechawszy na 500 kroków, krzyknął: stać! — rozsypać się — ognia! kilkadziesiąt wystrzałów zagrzmiało — Moskwa odpowiedziała, zmykając co sił do miasteczka, w którem niedługo skryli się — a rozsypawszy się w tyralierkę, rozpoczęli z pomiędzy budynków gęsty ogień. Była to rota Smoleńskiego pułku, stojącego w Kielcach, która odłączywszy się od głównego oddziału, stojącego w Przysusze, wpadła na przechodzący oddział powstańczy pod wodzą Czachowskiego i została rozbitą — w popłochu uciekając, natknęła się na nas. Po zamianie jeszcze kilkudziesięciu strzałów, nie pozostawało nic innego, jak cofnąć się. Nie szło tu o rzeczywistą walkę, gdyż trudno nam było mierzyć się z piechotą, ile o pokazanie, że powstańcy są wszędzie liczni i gotowi tępić wroga na każdym kroku.

Odwrót odbył się w porządku, a nawet z pewną brawurą, bo stępa, pod ciągłym ogniem nieprzyjacielskim, nieźle nas sięgającym. Wprawdzie do powolnej rejterady zmuszał nas rozkaz dowódzcy, i choć niejeden kręcił się na koniu i uchylał głowy na świst kuli, jednakże przez pewien punkt honoru i obawę ściągnięcia na siebie podejrzenia tchórzostwa, starał się trzymać jak najlepiej. Był to pierwszy chrzest ognia, i śmiało mogę powiedzieć, że miałem straszniejsze wyobrażenie o bojaźni przejmującej na widok zaglądającej śmierci. Nie doznałem żadnej oba-

wy. Wprawdzie nie była to właściwie bitwa, gdzie stosy rannych i zabitych przedstawiają nieprzywykłym oczom ohydny i wstrętny widok; tam prawdopodobnie i cały organizm człowieka zdenerwowany silnemi wrażeniami, skłonniejszy jest uledz obawie a nawet trwodze, lecz sądzę, że jak do wszystkiego, tak i do trwogi i obojętnego patrzenia na zeszpecone i porozrywane trupy, można snadno przywyknąć .i z czasem pozbyć się pierwotnej wrażliwości. O ile mnie się zdaje, odpowiedni ustrój nerwowy w człowieku czyni go mniej lub więcej bojaźliwym, i nie wierzę w to, aby odwagę można w sobie dowolnie wyrobić. Znałem ludzi, którzy byli razem ze mną w 20 może bitwach i zawsze się bali — widocznie nerwy ich nie mogły się przyzwyczaić.

Straciliśmy jednego w zabitych i dwóch rannych.

W parę dni potem mieliśmy podobną utarczkę pod Przysuchą, również z piechotą, idącą na rozpędzenie formującego się w lasach koło Janowa Chmielińskiego. Spotkaliśmy się z nimi już pod samem miastem. Biegiem zmykali; naturalnie o napadzie nie było można i myśleć, to nas tylko zastanowiło, że Moskale, czując się zupełnie na siłach, nie zatrzymali się od razu i nie stawili nam oporu; prawdopodobnie przypuszczali, że za nami idzie piechota, i dlatego postarali się jak najprędzej obwarować w mieście. Zuchwałość nasza i zarozumiałość rosła

bajecznie — przypuszczaliśmy, że nas się srodze boją.

W tym czasie, tj. w końcu maja *), Oksiński, liczący 600 ludzi piechoty i 100 kawalerji, został zaatakowany przez Moskwę pod Koniecpolem. Bitwa była zacięta i, jak na ruchawkę, nader pochlebna. Najlepszym tego dowodem była ta okoliczność, że Oksiński nie został rozbity i cofnął się w porządku w sąsiednie lasy, straciwszy w całej tej rozprawie bardzo mało ludzi. Tutaj odznaczył się niejaki Marzniewski, mężczyzna olbrzymiego wzrostu i odpowiedniej siły. Stanąwszy na moście, znajdującym się na Pilicy, z niezwykłej wielkości garłacza, gdzie mieściła się prawie armatnia kula, jak drugi Kokles rzymski, walił raz poraz, a zawsze ze skutkiem. Tak strzelając z pół godziny, nie spostrzegł w swym zapale, że sam prawie został na moście, opuszczony od wszystkich, oddalony od nieprzyjaciela na paręset zaledwie kroków. Pomimo tego nie cofnął się; naraz zadrżał — zabójczy garłacz wypuścił z rąk — dwie kule uderzyły go prawie jednocześnie w piersi i przecięły pasmo dni młodego bohatera. Moskale podniósłszy go z ziemi, dziwili się jego budowie i olbrzymiej broni, jakby umyślnie odlanej dla

*) Bitwa koniecpolska była dnia 25. maja 1863. Co do cofania się w porządku, autor się myli. Oddział cofnął się w zupełnym nieładzie, nie ścigany tylko przez Moskwę, z powdu obawy Bończy, który kręcił się wówczas w tamtych stronach. Czytaj o tej bitwie w mem dziełku: «Wspomnienie Ułana» Poznań 1874. (Przyp. wydawcy.)

niego. Major dowodzący oddziałem kiwał głową i mruczał: „z takimi niewygodne dieło“.

W końcu maja przybyliśmy w Opoczyńskie. Bończa bowiem odebrał rozkaz ukarania chłopstwa we wsi Lipie, którzy odważyli się łapać powstańców i wydawać ich władzom ruskim, a nawet kilku tych biedaków mieli w drodze zamordować. Wieś to była duża i dobrze zabudowana; została przez nas otoczoną i podpaloną z dwóch stron. Miało to być przykładem dla drugich, chociaż widzi mi się, że oprócz zemsty głęboko przechowanej, kara innego skutku nie miała. Operacja ta i jęki nieszczęśliwych; ratujących swoje mienie, uczyniły na mnie niemiłe wrażenie, i rad byłbym znajdować się wtedy daleko. Główną ich winą było, wedle doniesienia, naprowadzenie Moskali na obóz Zawadzkiego, tylko co formujący się w sąsiednich lasach, który rozbili i większą część zabrali do niewoli — resztki pod dowództwem Gromejki i Rudawskiego, junkrów zbiegłych z wojska moskiewskiego, uprowadzone były w lasy około Rudy Malenieckiej.

Spędzona została cała gromada na obszerny plac, dla wysłuchania wyroku i wskazania z pomiędzy siebie najwinniejszych. Po wystawieniu im przez Bończę całej szkarady i bezpożyteczności zbrodniczego czynu, wykazaniu, że jesteśmy dziećmi wszyscy jednej matki, a zatem braćmi, nie wrogami, że interes nasz powinien być zarówno ich interesem, zażądał wskazania winnych i głównych hersztów. Widząc, że nie

przelewki i zapieranie się do niczego nie doprowadzi, wskazali miejscowego sołtysa i urlopowanego żołnierza, którzy wkrótce przyznali się do zbrodni, tłumacząc się, że uczynili to pod strachem kozackich batów, wskazując przytem głównego winowajcę, żyda, krawca z Białaczewa, który wraz z synami właściwie naprowadził Moskali na powstańców; do mordowania zaś tych ostatnich nie przyznali się, co również poświadczyli i inni i miejscowy obywatel. Odkomenderowano zaraz kilku ludzi dla sprowadzenia z Białaczewa wspomnionego żyda i w niespełna godzinę już takowy wraz z synem znajdował się w obozie. Sąd był krótki: żyda, który przyznał się do winy, powieszono, syn zaś jego, ze względu na młodość, został ukarany chłostą, a spalenie wsi poczytane było za karę chłopstwa. Nawet przywódzcom, sołtysowi i urlopnikowi, darowano życie z zastrzeżeniem, że jeżeliby kiedykolwiek dopuścili się podobnego czynu, nie minie ich stryczek.

Pierwszy to raz byliśmy świadkami egzekucji i aczkolwiek wina była jasna, dowiedziona i zasługiwała najzupełniej na ukaranie, jednakże, jak każda egzekucja, przyjemną być nie mogła, dla nieprzywykłych mianowicie do tego rodzaju zajęcia.

O ile dochodziły nas wieści, najgorzej było usposobione chłopstwo w Opoczyńskiem i Radomskiem, do tego nawet przychodziło, że bez rozkazu zaczajali się na przechodzących powstańców, łapali takowych i odstawiali do ko-

mend moskiewskich. W opoczyńskiem mieli nawet w rodzaju przywódcy chłopa,. nazwiskiem Bulwa czy Bulwer, który formalnie urządzał obławy. Został on rozstrzelany przez powstańców, ale dziwnem zrządzeniem pomimo trzech kul, które przeszyły go na wylot, wyzdrowiał zupełnie i prawdopodobnie żyje podziśdzień. W wiekach średnich taki wypadek, pomimo niezaprzeczonej winy, byłby poczytany za wyrok boski, oczyszczający Bulwę zupełnie z grzechów i z przewinień. My dzisiaj możemy sądzić, że powstańcy źle strzelali.

Co do spalenia wsi Lipie, Bończa miał wyraźny rozkaz Rządu Narodowego, aczkolwiek wcale nie podzielał tego niepolitycznego postępowania, uczynił nawet w tej mierze stosowne przedstawienie, lecz odebrał polecenie powtórne nakazujące mu bezzwłoczne wykonanie wyroku, z objaśnieniem, że dla przykładu i wreszcie pewnego poszanowania dla nowego Rządu, krok ten nieodzowny, jeżeli nie chcemy rozzuchwalić nieprzyjazny nam żywioł i uniknąć scen galicyjskich. Co było lepszem? czy droga pobłażliwości, czy groza i postrach — nie wiem.

Przez cały czas pozostawania pod komendą Bończy, byłem świadkiem tylko trzech egzekucji, żyda Białaczewskiego i dwóch chłopów — mniej winnych karał chłostą i odsyłaniem do obozów piechotnych. Czy była z nich jaka korzyść, pozwalam sobie wątpić, przy pierwszej sposobności zwykle ginęli bez wieści, a nie rzadko się zdarzało, że chronili się do Moskali

i wychodzili na urzędowych szpiegów i przewodników.

Jednocześnie z ukaraniem chłopów Lipińskich, Bończa odebrał rozkaz wcielenia do swego oddziału małej partyjki powstańców, zostającej pod komendą Stamirowskiego. Oddział ten liczył ze 20 ludzi i uwijał się w okolicach Grójca, Czerska i Mogielnicy, a czasem zaglądał w Opoczyńskie i Krakowskie. Kto był Stamirowski? nie jednemu w powstaniu i przedtem jeszcze, obiło się o uszy to nazwisko, a różnie sobie tę osobistość przedstawiano.

Stamirowski pochodził z Rawskiego, gdzie nawet miał własny majątek, uosobiona i chodząca awanturniczość, znana jeszcze przed powstaniem w swojej i przyległych okolicach; nie było bowiem żadnej burdy, żadnej głośniejszej awantury, do którejby Stamirowski nie należał. Burzliwy ten i niespokojny charakter, zdawało się, że będzie pasował do wybuchłego powstania, będzie bowiem miał pole popisania się ze swoją odwagą i siłą fizyczną, i że jedno i drugie zużyje z chwałą dla siebie i pożytkiem dla kraju. Niestety, jak wszędzie tak i tutaj był człowiekiem nie do zniesienia i daleko więcej przyniósł straty jak korzyści. Z d. 23 na 24 stycznia dowiedziawszy się o wybuchu powstania, uzbraja swojego służącego i samowtór konno udaje się do Mszczonowa, gdzie stało na kwaterach pięciu kozaków. Trafił tak, że kozacy wyjechali z miasta, traktem ku Rawie, t. j. tym, którym właśnie zbliżał się Stamirowski. Nie

namyślając się wiele, bohater nasz, przypuszcza konia i nim kozacy przyszli do tego przekonania, że to nieprzyjaciel, ubija jednego z pistoletu, drugiemu łeb rozwala szablą, literalnie na połowę jak główkę kapusty i za resztą szukającą ocalenia w ucieczce przed tym szatanem, puszcza się z gwałtownym impetem i szaloną odwagą. Mając dzielnego konia, szybko dopędza jednego, a uchwyciwszy go za łeb ściąga z konia i w tej pozycji, prawie w powietrzu niosąc, dowozi go żywcem do Mszczonowa. Dwóch ostatnich szczęśliwie umknęło. Po tym wstępnym czynie, prawdziwie rycerskim, nie miał co w domu robić; zebrał kilkunastu awanturników podobnych sobie i zaczął wojować na swoją rękę, alarmować Moskali po kwaterach, napadać na odłączających się od oddziału, trapiąc ich jednem słowem wszędzie gdzie mógł i jak mógł. W Grójcu przeleciał cały rynek napełniony piechotą, szło o zakład i wygrał go. Z tem wszystkiem nie przestał burd i skandali w swoich przechodach po domach obywatelskich, obchodząc się nieraz srogo i okrutnie z tymi, których podejrzywał o nieprzychylność dla sprawy ogólnej, nie mając na to żadnych danych ani pewnego przekonania, a po większej części kierując się swą burzliwą fantazją a czasem widokami i zemstą osobistą. Takim był Stamirowski, który tak świetnie rozpoczętą karjerę zakończył na szubienicy, ginąc z ręki własnych rodaków.

Tego rodzaju postępowanie było powodem, że Rząd Narodowy, wydał rozkaz Bończy wcie-

lenia Stamirowskiego do swego oddziału i ujęcia w kluby wyuzdanej jego swawoli. Widząc kto jest Stamirowski czuliśmy, że będzie awantura i sam Bończa nierad był temu rozkazowi. Stamirowski stał wtedy ze swym oddziałem nie daleko nas, około Rudy Malenickiej. Bończa wysyła do niego dwóch ludzi z wezwaniem o przybycie natychmiastowe do jego obozu, komunikując mu przytem polecenie Rządu Narodowego. Jak przewidywaliśmy tak się stało. Stamirowski odpowiedział, że nie myśli wcale oddawać się pod cudzą komendę i spełniać poleceń obrażających jego ambicję. Odpowiedź ta w pierwszej chwili rozgniewała Bończę do tego stopnia, że kazał nam siadać na koń, z zamiarem przymuszenia Stamirowskiego siłą do posłuszeństwa, ale przytomni temu obywatele zaczęli perswadować i odradzać podobny krok, mogący zaszkodzić całej sprawie i dać obszerny materjał nieprzyjacielowi do szykan i wystawienia nas na szyderstwo i śmieszność; znali tego awanturnika i byli przekonani, że przyszłoby do rozlewu krwi na pewno, i aczkolwiek siły Bończy były aż nadto dostateczne do wykonania polecenia, jednakże z uwagi na drażliwość kwestji i przypuszczenie, że Stamirowski się opamięta i dobrowolnie połączy, Bończa odstąpił od swego zamiaru, posyłając do niego odezwę powtórną i wystawiając niewłaściwość jego postępowania, jak również korzyść ogólną gdy będą silniejsi liczbą i nakoniec odpowiedzialność jaką bierze na siebie stawiając opór władzy, prosi go jeszcze

raz o połączenie natychmiastowe. W odpowiedzi na powyższe wezwanie Stamirowski oświadczył, że od swego zdania nie odstąpi, z nikim łączyć się nie myśli i jednocześnie z tem wyruszył w Rawskie. Taka była jedność; duch niezgody i brak ogólnej subordynacji, to cecha naszego charakteru, a buta szlachecka, pomimo tyloletniego jarzma i smutnych onej następstw, nie została pohamowaną w swej fantazji i burzliwości.

Później dowiedzieliśmy się, wskutek skarg szanownych dowódzców różnych oddziałów, że Stamirowski po prostu zajmował się rozbojem i grabieżami, napadał na dwory, nakładał kontrybucje i rabując co się dało, unikał już później osławiwszy się spotkania z powstańcami. Do tego doszło, że obywatele szukali pomocy u komend moskiewskich. Tak plondrował do sierpnia i pomimo wydanej banicji przez Rząd Narodowy i starannych poszukiwań tak przez powstańców jak i Moskali, potrafił zawsze szczęśliwie się wymykać. Zrabowawszy 200,000 złp. w końcu sierpnia, powozem i czterma końmi, przebierał się do Krakowa i wpadł na Chmielińskiego w Oksy pod Jędrzejowem. Tutaj po zaciętej obronie został pochwycony i na drugi dzień, po krótkim sądzie wojennym, powieszony w Radkowie. Byłem świadkiem jego śmierci. Po założeniu stryczka, prosił, że on sam się udusi, co rzeczywiście wykonał. Miał tyle siły fizycznej i silnej woli, że sam postronek pociągnął do góry i trzymał go w zaciśniętych i

skrzepłych rękach do ostatniego momentu. Tak zginął ten człowiek, przed którym leżała może najświetniejsza przyszłość, a którego burzliwość, złe wychowanie i namiętności zaprowadziły na szubienicę i skalały imię, na które nie jeden z jego przódków, odmiennemi idąc drogami, ciężko pracował przez długie lata. Zdaje się, że pozostawił matkę, — bodajby lepiej była nie dożyła tej sromotnej ostateczności!

III.

Treść: Zygmunt Chmieliński — Oksiński — charakter Bończy — pobyt w Chrobrzu — bitwa pod wsią Góry — śmierć Bończy — Dzianott — utarczka Chmielińskiego pod Janowem — oddział Bończy w obozie Chmielińskiego.

W ciągłych marszach po Krakowskiem, Opoczyńskiem i Rawskiem, doczekaliśmy się czerwca, nie będąc nigdzie zaczepiani. W Gniewocinie, około Wodzisławia, przybył do naszego obozu Zygmunt Chmieliński, oficer moskiewskiej artylerji i przyprowadził ze sobą 40 ludzi dobrze uzbrojonych i należycie umundurowanych. Oddał takowych pod komendę Bończy, a sam udał się w okolice Złotego Potoka dla organizowania piechoty. Nie zwróciliśmy wtedy wielkiej uwagi na człowieka, który swoją odwagą, prawdziwie partyzancką przebiegłością i stałością charakteru, należał do najznakomitszych dowódzców powstania i potrafił niedługo zwrócić na siebie uwagę tak całego kraju jak i nieprzyjaciół.

Oddział nasz liczył z nowo złączonymi około 300 ludzi. Z Gniewocina ruszyliśmy z powrotem

w Opoczyńskie i w Olesznie, majętności p. marszałka szlachty Niemojewskiego, zeszliśmy się z oddziałem Oksińskiego, liczącym 400 piechoty i 150 koni. Oksiński proponował połączenie się, lecz Bończa wymówił się osobną instrukcją, daną mu przez Rząd Narodowy, i niezwłocznie wyruszyliśmy dalej. W oddziale Oksińskiego, ocalonym z pod Koniecpola, znajdowało się wielu oficerów zagranicznych wojsk, jak Lacroix, Lüttich, Bogusławski, którzy przyszli szukać tu karjery, lecz rychło się rozczarowali. Oksiński był człowiek młody, liczący może 25 lat. Gwałtowność jego i popędliwość nieraz beztaktowna, czyniła go niepopularnym tak w obozie, jak i okolicy, zbytnie wymagania, przechodzące możność obywateli, były często powodem różnych nieporozumień i niechęci. Mógł być dobrym żołnierzem, ale nigdy dowódzcą osobnego oddziału, od którego nie tyle osobista odwaga jest wymaganą, ile takt, przezorność i pewna umiejętność w postępowaniu, przymioty niezbędne, jeżeli chciano niecić poszanowanie w obozie i sympatję za obozem. Oksiński właśnie nie był w tych warunkach i niedługo też oddział jego rozpadł się, jak toniżej zobaczymy.

Bezczynne to włóczenie się po kraju, już nam potrosze zaczęło się przykrzyć, nie jeden rwał się do walki serdecznie, żądając nowości, chociaż czas ten właściwie nie był straconym. Codzienne mustry i ćwiczenia z bronią, czyniły istotny pożytek, nadawały pozór regularnego wojska i dawały gwarancję, że w potrzebie

jakoś to się nie rozleci od pierwszego wystrzału; ale i z tem wszystkiem na bezczynność naszą podnosiły się w różnych miejscach sarkania mieszkańców, odzywających się nieraz wręcz, żeśmy nie po to przyszli, aby się bawić w wojsko, dla pustej igraszki, ale dla tego, żeby się bić i krajowi oddawać przysługę. Przytaczali nam, że w innych stronach, jak ich dochodzą wieści, dowódzcy powstańczych oddziałów, nie kryją się, ale szukają nieprzyjaciela i odnoszą zwycięstwa. Wiadomości te, obałamucające ludność do wysokiego stopnia zwycięstwami powstańców, były bezzasadne i nieraz ani krzty prawdy w nich nie było. W maju powstańcy nie kusili się, jak w pierwszych początkach napadać na Moskali, ale ograniczali się na unikaniu i osobistej obronie, lecz ponieważ człowiek oczekujący czegoś z utęsknieniem, gotów jest zawsze prędzej uwierzyć dobremu jak złemu, tak też i tutaj. Wszelkim wieściom przesadzonym do potęgi i nieprawdopodobnym wierzono ślepo, nie przypuszczając w nich fałszu i nieprawdy. Biuletyny zaś Rządu Narodowego, podtrzymujące ducha narodu, ogłaszaniem ciągłych zwycięztw i tryumfów powstańców, przyczyniły się nie mało do ogólnego obałamucenia, i nic dziwnego, że ludzie krócej widzący, napełnieni temi przekonaniami, oczekiwali i żądali od nas również walk i zwycięztw.

Nie wiem, czy zawstydzające nas sarkania i wymówki obywatelstwa, czy smutne przeczucia, czy też inne przyczyny wpłynęły na usposobie-

nie i humor naszego dowódzcy, dosyć, że spostrzegliśmy w nim od paru tygodni wielką zmianę. Nigdy wprawdzie nie był on zbyt ożywiony i wesół, lecz trafiały się jednakże chwile, że stawał się rozmowniejszy, a niekiedy i uśmiech przemknął mu się pod czarnym wąsem. W ostatnich czasach, to jest w początkach czerwca, był jakby przybity, obojętny na wszystko i widocznie czemś straszliwie znękany. Można go było śmiało posądzić, że byłby rad z zakończenia powstańczej karjery, choćby w najniefortunniejszy sposób. To zniechęcenie czy też troska moralna, przechodziła bardzo często w przykre obejście, lub też apatyczną zadumę, przedłużającą się godzinami. Humor dowódzcy oddziałał i na podkomendnych, i w stanie, jakby ciężkiej żałoby, wyruszyliśmy dnia 13. czerwca z Rusanowa, kierując się w Krakowskie. W drodze, złączył się z naszym oddziałem zbiegły z Opoczak, kozak, nazwiskiem Lotkin i piechur, którego nazwiska nie pamiętam. Z początku Bończa wahał się z przyjęciem, obawiając się zdrady, lecz szczerość spowiedzi, z której dowiedział się o przyczynach znaglających ich do dezercji, mianowicie pobicie oficera, dawało mu dostateczną rękojmię bezpieczeństwa z ich strony, i rzeczywiście kozak Lotkin służył najwierniej do końca powstania, przechodząc z oddziału do oddziału, narażając się na największe niebezpieczeństwa i zabrany raz do niewoli z oddziału Chmielińskiego, zdołał po raz drugi umknąć z Piotrkowa. Był to człowiek prosty, którym

niepowodowało żadne przekonanie, a jedynie uważał obóz powstańców jako pewny przytułek przed oczekującą go karą, dobre przytem życie, obfitość wódki i większa swoboda, nęciła go i przywiązywała dostatecznie.

Dnia 14. przybyliśmy forsownym marszem, idąc dniem i nocą, do Pradeł pod Zarkami, a ztąd wyruszyliśmy do Chrobrza, rezydencji Wielopolskiego. Mieliśmy tu dniówkę, zastaliśmy pyszny pałac przez oddział Langiewicza obdarty i zniszczony zupełnie, szyby powybijane, meble porąbane, obrazy drogocenne poniszczone. Smutny przedstawiała widok ta rezydencja magnacka, obdarta i odrapana, a smutniejsze jeszcze było przekonanie o ludziach, którzy w swej zemście dopuścili się tego wandalskiego czynu. Dla czego? sami zapewne nie potrafiliby sobie zdać z tego sprawy, ot, poprostu że ktoś krzyknął: Wielopolski, łotr, zdrajca! Z Chrobrza, udaliśmy się do Pińczowa, witani przez miejscową ludność z zapałem i podejmowani aż zanadto gościnnie, wystawiono bowiem na rynek beczki z winem, celem ufetowania nas prawdziwie po staropolsku; lecz niewczesną tę ochotę i rankor przerwał dany rozkaz dowódzcy do niezwłocznego wymarszu. Bończa chciał uniknąć nieporządku, który z pewnością by się zakradł do jego szeregów, przy poczęstunku gościnnych mieszkańców. Tutaj dopiero dowiedzieliśmy się, że Bończa odebrał przed paru dniami rozkaz czy wezwanie, ażeby stawił się na granicy, gdzie miał się połączyć z oddziałem piechoty Jordana wkracza-

jącym z Galicji. Zmierzaliśmy przeto ku Igołomni czy Michałowicom, i wyszedłszy z Pinczowa przybyliśmy do Jeżyc, gdzie mieliśmy dniówkę, a w nocy o 12. wyruszyliśmy do wsi Góry, majętności p. Dembińskiego. Było to d. 15. czerwca — jechaliśmy stępa, jak zwykle w marszach i nad ranem, może o godz. 3. wyjeżdżając z lasu, spostrzegliśmy upragnioną stację, wieś Góry. Byliśmy niezmiernie strudzeni forsownemi marszami, jakie odbywaliśmy od kilku dni zawsze nocami — literalnie spaliśmy na koniach. Bończa od wyjazdu z Pińczowa był niezdrów i jechał na wozie w tyle oddziału. Naraz wybiega do nas jakiś wieśniak z lasu i ostrzega, że Moskale są w Górach i że przyaresztowali przybyłych tam naszych kurjerów. Usłyszawszy to Bończa kazał sobie podać konia i rozgorączkowany, nie rozpytawszy się należycie wieśniaka, jak dużo jest nieprzyjaciela, jakiej broni, ustawił nas plutonami i zakomenderował do ataku — i pierwszy puścił się na pokazujących się w tej chwili kilkudziesięciu kozaków. Ruszyliśmy z kopyta mając przed sobą Bończę, może na jakie sto kroków, waląc prosto do wsi. Bończa jak szalony, nie obejrzawszy się nawet na oddział, wpadł w środek kozaków i po krótkiej utarczce, nim zdążyliśmy nadbiedz, został w naszych oczach kikunastu cięciami zwalony z konia. Zwarliśmy się z kozactwem, które po chwili zaczęło pierzchać ku wsi, wprowadzając nas na ukrytą i rozstawioną po rowach i zabudowaniach piechotę, która nas przyjęła rzęsi-

stym ogniem. Oczywiście, po takiem przywitaniu szeregi nasze zaczęły się chwiać, mięszać i rozsypywać, każden bujał po polu bez planu i instynktownie oddalając się od niebezpieczeństwa coraz bardziej. Brak dowódzcy i rozkazów spowodował odrazu nieporządek, który pod ogniem piechoty prażącej nas potężnie i dosyć blizko, musiał się zamienić w kompletną ucieczkę. Odcinając się w rejteradzie dojeżdżającym kozakom, zdołaliśmy podnieść z ziemi rannego Bończę i kilku towarzyszy i unieść ich z pola, bitwy.

Odsunąwszy się od piechoty o parę wiorst rotmistrz Dzianott, zdołał przyprowadzić nas do pewnego porządku i prześladowani rzadkiemi strzałami uwijających się za nami w pewnej odległości kozaków, weszliśmy do lasu rozgraniczającego wieś Lubczę od Gór. Mieliśmy serdeczną ochotę rzucić się na nich, lecz za każdem zwróceniem się naszem, cofali się bezładnie i z wielkim krzykiem, unikając blizkiego starcia. Cała ta utarczka trwała nie więcej jak pół godziny. W Lubczy zatrzymaliśmy się dla złożenia rannych i pewnego uporządkowania. Biedny Bończa, miał strasznie zrąbaną głowę i obecny doktor nie robił żadnej nadziei. Mózg był nadwerężony a silna gorączka połączona z upływem krwi, czyniła stan jego śmiertelnym. W całej tej rozprawie mieliśmy sześciu zabitych i 15. rannych. Wszedłem na salę, gdzie złożono rannych. Straszny widok przedstawił się moim oczom — pokaleczeni ludzie, leżeli rzędem na

słomie, wydając przeraźliwe jęki. Bończę posadzono na krzesełku, obmywając skrzepłą krew. Głowa jego przedstawiała jedną wielką ranę, którą doktor bandażował — czułem, że mi się robi niedobrze — zmuszony byłem wyjść. Na drugi dzień o godz. 4. rano, dowódzca nasz skończył życie w strasznych cierpieniach. Wiadomość ta smutne na nas uczyniła wrażenie — głęboki i nieudany żal wypiętnowany był na obliczu każdego — zdawało nam się, żeśmy utracili ojca lub brata. Poważnem swojem postępowaniem, surowością obyczajów i niezwykłem a tajemniczem obejściem, potrafił nas przywiązać do siebie, natchnąć zaufaniem i wiarą, niezbędną w żołnierzu do swego wodza. Zagadkowa jego przeszłość i widoczne, rozlane po jego twarzy cierpienie moralne, wywierały na podwładnych pewien urok i mimowolnie, zjednywały mu serca i sympatję niekłamaną.

Co go spowodowało do przyjęcia bitwy pod Górami, której mógł snadnie uniknąć, będąc dość wcześnie przestrzeżonym i gdzie, jako człowiek doświadczony, mógł łatwo przewidzieć, że uderzając na piechotę prawie obwarowaną, nie może się spodziewać innego rezultatu jak klęski — jest to dla mnie po dzień dzisiejszy - zupełną zagadką. Prawdopodobnie chciał wyrzucić ze siebie robaka, który go gryzł; szukał śmierci i znalazł ją! Gwałtowne jego wyskoczenie naprzód oddziału, nie obejrzawszy się nawet co czynią podkomendni, stwierdza moje przypuszczenie — chciał zginąć. W każ-

dym razie niech mu ziemia ojczysta będzie lekką!

W parę dni po bitwie pod Górami, Jordan rzeczywiście wyszedł z Krakowa ze swoim oddziałem, liczącym 500 ludzi piechoty i 100 koni, złożonym po większej części ze starych żołnierzy węgierskich i austrjackich, ale napadnięty przez przeważne siły moskiewskie, został ze szczętem rozbity. Słyszałem od naocznych świadków, że 300 ludzi piechoty, mając odciętą zupełnie drogę, zamknęło się w jakiejś wsi około Stopnicy*) w owczarni i broniąc się przez sześć godzin, zostali nakoniec spaleni — ani jeden nie ocalał. Moskale stracili wedle ich własnych raportów około 300 ludzi w zabitych i rannych. A pan Jordan, dowódzca oddziału, przy pierwszym wystrzale, na czele kawalerji drapnął i nie oparł się aż z powrotem w Galicji. W bitwie tej zginął moskiewski kapitan Pleskaczewski, ten sam, który miał z nami utarczkę pod Górami.

Jednocześnie prawie z rozbiciem oddziału Jordana, zginął dowódzca oddziału, Czachowski, zrąbany we wsi swojej córki, przed jej oknami. Cały oddział jego wyszedł już w pole i ustawił się w szeregi. Czachowski wyjeżdżał ostatni z podwórza. We wrotach koń mu się rozpiera i ruszyć się z miejsca nie chce. Nadbiegłym dra-

*) Jest to pomyłka. Autor prawdopodobnie mówi tutaj o krwawej rzezi oddziału Czachowskiego w Iwaniskach. (Przyp. wydawcy.)

gonom opędzał się szablą jakiś czas, lecz w końcu uległ i zrąbany śmiertelnie spadł z konia i więcej nie powstał.

Po śmierci Bończy objął komendę rotmistrz Dzianott, człowiek słabego charakteru i bez najmniejszej znajomości rzeczy wojskowych, niezbędnych dla dowódzcy osobnego oddziału. Ta mimowolnie pozyskana komenda trapiła go i kłopotała, nie wiedział co robić z sobą i jak się kierować na przyszłość. Zamierzył więc przyłączyć się do którego z oddziałów i w tym celu z Lubczy wyruszyliśmy ku Koniecpolowi, gdzie stał Oksiński i Chmieliński. Ten ostatni przed paru dniami miał bitwę pod Janowem, gdzie Moskale uderzyli na tylko co sformowany jego oddział. Potrafił szczęśliwie im się wymknąć z niewielką stratą, tylko miasteczko ucierpiało, gdyż spalone zostało ze szczętem.

Z pod Janowa prosto przybył do Secymina i tam kompletował dalej swój oddział. Po dwóch dniach marszu przybyliśmy do obozu Chmielińskiego i zostaliśmy nadzwyczaj zdziwieni niezwykłym ruchem i postawą wojenną onego. Sądziliśmy, że Moskwa niedaleko, przekonaliśmy się za chwilę, że przygotowania te miały nas na celu. Doniesiono bowiem Chmielińskiemu, że Bończa zginął opuszczony przez nas i w oczach nowego dowódzcy uchodziliśmy za ostatnich tchórzów. Postanowił więc nas ukarać i w tym celu wyszedłszy przed front, objawił nam, że dla dobra sprawy uważa za stosowne, wcielić nas do piechoty, tem bardziej, że siłę główną

i więcej użyteczną widzi w tej broni. Wspomniałem już, że ogólną słabością w powstaniu było służyć w kawalerji; na objawiony zatem rozkaz czy projekt, powstał z naszej strony szmer burzliwego niezadowolenia. Rotmistrz Dzianott zaczął przekładać, że to są już wyćwiczeni kawalerzyści i mogą przynieść należyty pożytek powstaniu, kiedy przeciwnie w piechocie trzeba by ich znowu uczyć. Na to przerwał Chmieliński, że o odwadze i zdolnościach kawaleryjskich naszych ludzi najlepiej przekonywa śmierć byłego ich dowódzcy, którego pozwolili nikczemnie w swoich oczach zamordować, a co do nauczenia ich musztry piechotnej, nie ma najmniejszego kłopotu; chęci i pojętności napędzi ten oto bat — wreszcie rozkazów raz wydanych, nie ma zwyczaju zmieniać. Odwrócił się i wszedł do namiotu.

Rotmistrz Dzianott nie wiedząc co począć, obrócił się do oddziału oburzonego w wysokim stopniu, spoliczkowanego haniebnie zarzutem tchórzostwa, który co prawda był niesłuszny — żądając rady. Jednogłośną prawie na to usłyszał odpowiedź, że pod takimi warunkami i po takiem przyjęciu, nikt z nas z oddziałem Chmielińskiego się nie złączy — i nie czekając wcale rozkazu swego rotmistrza, cały oddział zwrócił się w prawo i kłusem wyruszył z miasteczka. Chmieliński przyzwyczajony będąc w wojsku regularnem do subordynacji i karności i rachując na swoją powagę, a może też i siłę bagnetów, nie przypuszczał nigdy, żeby rozkaz do-

wódzcy mógł napotkać opór. Na wiadomość przeto, że oddział Bończy wyszedł z jego obozu, zerwał się jak wściekły i kazał strzelać piechocie, ale zobaczywszy nas w odległości paru wiorst, opamiętał się, gorzko się uśmiechnął i machnąwszy ręką, kazał swym ludziom broń postawić w kozły.

Sceny podobne były w ostatniem powstaniu na porządku dziennym, nic dziwnego przeto, że przy takich warunkach i samowoli, ułatwiliśmy Moskalom rozbijanie naszych oddziałów, zamiast łączyć się wspólnemi siłami i napadać w nieprzyjaznych okolicznościach na drobne komendy moskiewskie. Każdy z dowódzców oddziału miał jakąś dziwną chęć niezależności i popisywania się na swoją rękę; nie chcieli rozumieć, już nie powiem ogólnego, ale swego osobistego interesu, i zwykle kończyło się na tem, że wpadali w łapkę, tracili ludzi niepotrzebnie, nie przynosząc żadnego pożytku, i każdy z tych panów, odegrawszy swoją rolę, zmykał w bezpieczne miejsce. O subordynacji i poszanowaniu władzy nie chcieli nawet wiedzieć. Stan taki oddziaływał i na podwładnych, którzy swoich towarzyszów, postawionych niżej czy to umysłowo, czy socjalnie, traktowali z góry i każdy panicz rościł pretensję do wydawania rozkazów, poczytując sobie za obrazę spełniać polecenia, wychodzące z ust parweniusza. Ale co to o tem mówić — stare to nasze wady — przejdźmy lepiej do rzeczy.

IV.

Treść: Dzianot w kłopocie — Oksiński w Maluszynie — wiadomości o Moskwie — rekonesans — marsz do Przedborza i bitwa — odwrót — popłoch w Skotnikach — moje myśli — stan oddziału — rozpuszczenie go w Belnie — mój przyjazd do Piotrkowa — dom rodzicielski — Warszawa — obóz Chmielińskiego — Taczanowski pod Ignacewem.

Po wymarszu z obozu Chmielińskiego, resztki ładu i porządku rozprzęgły się w naszym oddziale. Wszyscy chcieli rozkazywać a nikt słuchać, panował najzupełniejszy bezład i anarchia. Każden projektował i robił jak mu się podobało, jak mu było dogodniej — wielu było i takich, którzy uważali za stosowne zakończyć karjerę wojskową i szereg ciągłych poświęceń dla ojczyzny. Nieszczęśliwy nasz rotmistrz formalnie nie wiedział co czynić, jaką sobie dać radę i przemyśliwał tylko nad tem, jakby zrzucić ze siebie ten przykro-zaszczytny obowiązek. W tem ogólnem rozprzężeniu i chaosie przybyliśmy do Oleszna — tam przenocowawszy, ruszyliśmy dalej do Maluszyna, majętności hr.

Ostrowskiego. Tutaj przybył do nas z Krakowa wysłany w charakterze dowódzcy pan L***, a wkrótce nadciągnął ze swym oddziałem Oksiński, ale w tak opłakanym stanie, w takim nieładzie, że my przy całym swym nieporządku, wyglądaliśmy prawie wzorowo. Szczególniej kompania kosynierów, na wpół nagich, wynędzniałych, wzbudzała litość — byli to ludzie zawczasu skazani na śmierć, nie mając nawet satysfakcji użyć swego oręża, zwykle bowiem wystrzelano ich wprzódy nim mogli oddać jaką korzyść swemi kosami.

W nocy tego samego dnia, odbieramy wiadomość, że Moskwa wygnana z Kielc i Piotrkowa okrąża nas w około. Zrobił się alarm w całym obozie. Postanowiliśmy trzymać się wspólnie z Oksińskim i dzielić jego dobrą i złą dolę. Wysłany rekonesans pod wodzą przybyłego pana L***, składający się z 20 ludzi, w liczbie których i ja byłem, na świtaniu pod Nieznanowicami około Włoszczowy, wpadł na przednie czaty jenerała moskiewskiego Czengierego, idącego z Kielc. Cofając się pospiesznie i odstrzeliwając napadającym nas kozakom, schroniliśmy się do lasu. Przybywszy z powrotem do Maluszyna, dowiedzieliśmy się, że Oksiński z całym oddziałem, wymaszerował w kierunku Przedborza, a rotmistrz Dzianott, z kawalerją odłączył się i znajduje się w starej wsi za Olesznem. Podążyliśmy tam i znaleźli rotmistrza rzeczywiście, ale zaniepokojonego w wysokim stopniu odebranemi

wiadomościami o nadciągającej Moskwie od Piotrkowa.

Na drugi dzień rano, a było to zdaje się 23. czerwca, wyruszyliśmy lasami na Przedbórz chcąc połączyć się z Oksińskim, lub przerznąć w stronę Złotego Potoku. Przybywszy do wsi Ręczna, ledwie popuściliśmy popręgów koniom, gdy dano nam znać, że Mokwa tuż za nami i w istocie niedługo ujrzeliśmy pokazujących się na polu kozaków. Wyruszyliśmy kłusem — dzień pamiętam był parny, ołowiane chmury pokrywały niebo, a krwawe błyskawice od czasu do czasu pruły niebiosa. O zmroku przybyliśmy do Przedborza, gdzie już zastaliśmy Oksińskiego fortyfikującego się w mieście. Głównem zadaniem było obsadzenie mostu na Pilicy, jako jedynego punktu, przez który Moskwa ciągnąca z Piotrkowa mogła dostać się do miasta. Ledwieśmy stanęli na rynku, gdy przednia straż Czengierego, złożona z kozaków i dragonów, już była pod miastem — a niebawem nadciągająca piechota moskiewska rozpoczęła silny ogień rotowy. Ulokowani za zabudowaniami, byliśmy najzupełniej zabezpieczeni i tylko świst przelatujących nad nami kul, więznących w dachach i kominach przypominał nam, że się toczy walka. Noc nastała zupełna i była tak ciemna, żeśmy na dwa kroki przed sobą nic dojrzeć nie mogli, tylko błyskawice i wystrzały karabinowe rozwidniały nasze położenie. Na raz usłyszeliśmy huk armatni, jeden, drugi i trzeci — był to sygnał jenerała Redena nad-

ciągającego z Piotrkowa, uwiadamiającego Czengierego o swojem przybyciu. Na hasło to piechota Oksińskiego broniąca mostu, odpowiedziała gęstemi wystrzałami, na oślep gdyż nic wskutek ciemności nie mogła widzieć. Z drugiej strony usłyszeliśmy przeciągłe: hura! żołnierzy Czengierego, gotujących się iść do szturmu. Otrzymaliśmy rozkaz do marszu i wśród sięgających nas kul, straszliwej ciemności, wyruszyliśmy jedyną drogą, jaka była wolna, do Czermna. Uszedłszy ze dwie wiorsty, weszliśmy w las, nie będąc wcale niepokojeni przez nieprzyjaciela, który ze swej strony nie znając ani pozycji, ani sił naszych nie bardzo nacierał i jak się to później okazało, poprzestał ognia i dopiero nad ranem wszedł do miasta.

Co się zrobiło z Oksińskiego oddziałem, jaki był koniec stojącej na moście i w mieście piechoty, a równie jaki walka przybrała później charakter — nie wiem*). Prawdopodobnie piechota nasza cofnęła się również i tą samą drogą co my, wyszła z miasta i schroniła się w sąsiednim lesie. Było to podobno tak, że piechota moskiewska od strony Piotrkowa, nie zważając na piekielną ciemność, weszła na most i po żwawej utarczce, spędziła bagnetem naszych powstańców, którzy obawiając się napadu z tyłu oddziału Czengierego, spiesznie się cofnęli.

*) Oksiński ze swoim oddziałem późno już w nocy wycofał się drogą na Bąkową Górę — i nazajutrz w południe miał utarczkę pod Trzebnicą. (przyp. wydawcy.)

Piechocie Oksińskiego przewodniczył jakiś francuski żuaw Chabriol, którego komendy nikt nie mógł zrozumieć.

W Czermnie strudzeni do wysokiego stopnia, głodni i przemoknięci, deszcz bowiem w czasie rejterady, lunął jak z cebra — legliśmy na spoczynek, zabezpieczywszy się na wszystkie strony pikietami. Nazajutrz przededniem jeszcze, wymaszerowaliśmy do Falkowa, a ztąd z powrotem do Ręczna. W. Ręcznie zaalarmowała nas nadciągająca Moskwa, która rzeczywiście nas ścigała, po małem przeto wytchnięciu, ruszyliśmy ku Skotnikom i tu w lesie, natknęliśmy się na rozbitków Oksińskiego i cząstkę naszych kawalerzystów. Piechota była znacznie uszczuplona, już to zabitymi i rannymi, już to zbiegostwem nieodłącznem od każdej potyczki. Zaledwie zeszliśmy z koni i rozkulbaczyli takowe, gdy pada strzał na pikiecie, a nie długo widzimy pędzącą i samą pikietę z wiadomością, że Moskale wchodzą już do lasu. W obozie panował największy nieład. Czy to skutkiem zaufania, że Moskwa nie odważy się wejść do lasu, lub też poprzestając pogoni cofnęła się zupełnie, dosyć że obóz znajdował się w największym nieporządku — ludzie spali po rozmaitych kątach — kotły nastawione z żywnością i furgony znajdujące się w największym nieporządku na wązkiej drożynie, nie pozwalały ani myśleć o sformowaniu szeregów, mianowicie kawalerji. Piechotę tylko i to z wielkim trudem jako tako sformowano, dzięki przytomności Chabriola i Lü-

ticha. Oksiński sam zupełnie stracił przytomność. Piechota więc na chwilę powstrzymała nacierającą Moskwę — przez ten czas uprzątnięto furgony wysyłając je naprzód — a kawalerja tak Oksińskiego jak i nasza, zdołała okulbaczyć konie i siąść na takowe. Zaczęliśmy się cofać w głąb lasu w zupełnym porządku, czwórkami, gdy naraz ktoś krzyknął, że Moskwa na przodzie! Ostatki porządku i przytomności zniknęły, paniczny strach ogarnął wszystkich, w największym popłochu kawalerja pomięszana z piechotą, tratując jedni drugich, niesłuchając rozkazów, w ucieczce widziała swe ocalenie. Opłakanego tego stanu nie jestem w możności opisać, nie wiedząc gdzie się znajduję i nie będąc pewny czy nie wpadnę na Moskali, puściłem się na chybił trafił jakąś drożyną w las, co raz gęstszy, słysząc za sobą ciągłe strzały i wycia kozackie. Za mną szorowały dwa furgony i kilku kawalerzystów. Pędząc tak z półgodziny wpadliśmy nareszcie w taki gąszcz, że niepodobna nam było dalej postępować, ile że i drożyna się kończyła. Stanęliśmy a nie słysząc żadnego za sobą tententu, ani strzałów, postanowiliśmy odpocząć nieco, tembardziej, że i konie tego gwałtownie potrzebowały. Dopiero teraz spostrzegliśmy, kto z kim umykał — było nas trzech kawalerzystów Bończy i dwóch Oksińskiego, oprócz tego dwa furgony napełnione bronią i innemi wojskowemi rekwizytami.

Złożyliśmy walną naradę co dalej czynić— czy dłuższy odpoczynek będzie tu bezpieczny

lub nie? a nie znając zupełnie położenia i bojąc się wpaść na Moskwę, umyśliliśmy przenocować tu, gdzie nas fatalne losy zagnały, tembardziej że, żywności jak dla koni tak i dla siebie mieliśmy podostatkiem na zmykających z nami furgonach.

Po dwóch miesięcznem spokojnem włóczeniu się z Bończą, raptownie następujące po sobie wypadki, jak śmierć jego, zajście z Chmielińskim, bitwa pod Przedborzem i ostateczna rozsypka pod Skotnikami, przywiodły mię do jakiegoś szczególnego usposobienia, tak że nie wiedziałem co dalej będzie, czy to już koniec powstania i co mam czynić nadal. Marząc tak wśród cichego szumu odwiecznego lasu, mając nad sobą niebo a za poduszkę pień jakiś zmurszały, zacząłem dochodzić do tego przekonania, że karjera moja powstańcza już jest skończona, że myśli o świetności i potędze po smutnem rozczarowaniu, w obec bezsilnej naszej słabości, są tylko marzeniami i fikcją, że pokuszenia o wywalczenie orężem niezawisłości jest szaleństwem i prowadzenie dalej wojaczki byłoby śmiesznym Donkiszotyzmem, znaczącym tyle co porwanie się z motyką na słońce. Marzenia te, czułem że ostudzały mój młodzieńczy zapał i chwiały ostatkiem wiary w pomyślność naszej sprawy, rozpoczętej na fundamentach tak wątłych i nikłych, że lada spisa kozacka mogła je ze szczętem obalić i zrujnować. Lecz z drugiej strony co robić z sobą? jaki punkt wyjścia dla wszystkich skompromitowanych? powrócić do domu,

było to samo co narażać się na podróż do Syberji lub śmierć pod batami. Pozostawały dwie ostateczności: dalsze włóczenie się po kraju, w oczekiwaniu jakich okoliczności, które wyzwoliłyby nas z tego smutnego położenia, lub pewną niewolę moskiewską. Wybrałem pierwsze, rachując na szczęśliwe losy i pomoc choćby z nieba!

Na drugi dzień wyruszyliśmy ostrożnie, zostawiwszy w lesie furgony i po półgodzinnem przedzieraniu się przez gąszcze i krzaki, wydostaliśmy się na czyste pole a zobaczywszy wieśniaka, spytaliśmy go się: co to za wieś widać? — To Czermno panowie! Przytem objaśnił, że Moskale pociągnęli jedni do Kielc a drudzy do Piotrkowa. Przybywszy do Czermna, ledwie zasypaliśmy koniom obrok, gdy ostrzeżono nas, że Moskwa o dwie wiorsty od nas stoi, mianowicie w Falkowie. Ruszyliśmy natychmiast lasami ku Rudzie Pilczyckiej, i w Skórnicach, w gęstym lesie, w chałupie gajowego, zatrzymaliśmy się na nocleg. Tu przepędziliśmy cztery dni, aż nas uwiadomiono, że okolica jest zupełnie oczyszczona od nieprzyjaciela, a nawet, że możemy połączyć się z niedaleko stojącym oddziałem jazdy. Dano nam przewodnika i o pół mili w lesie, znaleźliśmy naszych niedobitków. Nie można sobie wyobrazić gorszego i smutniejszego położenia; z tego tak niedawno ładnego oddziału pozostało zaledwie 50 ludzi, obdartych, na zbiedzonych koniach, bez najmniejszej karności i z oznakami

głębokiego zniechęcenia i upadku moralnego. Przed paru dniami napadł ich w Olesznie Czengiery i ostatecznie rozbił i rozprószył. Utracili wówczas furgony, na których znajdowała się amunicja i przybory wojenne, oraz kilkanaście koni z zupełnem kawaleryjskiem umontowaniem.

Po parodniowym odpoczynku, wyruszyliśmy w Opoczyńskie i pod wsią Belno, około Żarnowca, rotmistrz Dzianott oświadczył nam, że w obecnem położeniu, nic innego nie pozostaje jak ukryć broń, konie rozesłać po dworach a samym się rozejść i oczekiwać szczęśliwszych okoliczności — tem bardziej, że w pobliżu o oddziałach powstańczych nigdzie nie słyszeliśmy. Tak też i uczyniono. Broń swoją, wyborny gwintowany pistolet, szablę i rewolwer systemu Lefauché, ukryłem u jednego obywatela wraz z koniem, a sam dostawszy cywilne ubranie, puściłem się z kolegą Z*** ku Piotrkowu, mając zamiar przebrać się do domu lub w Kaliskie, zkąd nas dochodziły świetne wieści o zbrojnych oddziałach Calliera i Taczanowskiego.

Pod Włoszczową omal cośmy nie wpadli Moskalom w ręce, bliskość lasu jedynie nas zachowała. Po trzechdniowej podróży, zaopatrzony w paszport przez jakiegoś wójta (kolega mój pozostał pod Piotrkowem), dostałem się do Piotrkowa. Tutaj ze skromną miną przesuwałem się po ulicach starożytnego grodu, napełnionego Moskwą, niepodejrzewającą, że mają takiego u siebie gościa, któremu by z chęcią założyli stryczek. Wydali bowiem rozporządzenie: wszystkich

z oddziału Bończy, jako żandarmów wieszających, wieszać. Zastałem tu mnóstwo niewolnika— trzymali ich w rynku, w domu Horowicza. Byli to po większej części zabrani z oddziałów Oksińskiego pod Przedborzem, liczono ich około 200.

Tego samego dnia jeszcze, nie nadużywając zaufania nieprzyjaciół, siadłem na pociąg i wieczorem byłem w objęciach rodziców, którzy mnie, mianowicie matka, opłakała, słysząc o rozbiciu Bończy, gdzie wiedzieli, że się znajduję. Na wstępie ojciec mi oświadczył, że nie widzi dla mnie żadnej pewności w domu, gdyż o wyjściu mojem do powstania wiedzieli wszyscy i bardzo łatwo mógł mnie ktoś wskazać patrolującym często kozakom. Na drugi dzień wyjechałem do Warszawy, którą zastałem na stopie wojennej — gęste patrole — namioty napełnione żołnierstwem na wszystkich placach, ciągłe aresztowania, jakaś ciężkość w powietrzu i smutne twarze, przesuwające się pojedyńczo po ulicach, oto obraz tego wesołego i gwarnego miasta. Zabawiłem tu kilka dni, chowając się po znajomych, a rozpytywany o bieg i postęp powstania, nie taiłem smutnej prawdy, że jak dotychczas jest bardzo źle. Nie widząc dla siebie bezpieczeństwa, jak również i celu dłuższego siedzenia, postanowiłem powrócić w Krakowskie i nie wstępując już do rodziców, ograniczywszy się jedynie na listownem ich powiadomieniu o moich zamiarach, wyjechałem z Warszawy koleją żelazną do Piotrkowa, a ztąd niezaczepiony nigdzie, wyruszyłem niezwłocznie ku

Kielcom i na trzeci dzień przybyłem do Kozłowa pod Włoszczową. Tu dowiedziałem się, że Chmieliński od tygodnia, z dosyć znacznym oddziałem piechoty i kawalerji, stoi pod Jędrzejowem w lasach Chlewskiej Woli i że niedawno miał bitwę pod Rudnikami, z której szczęśliwie i nadspodziewanie dobrze wyszedł.

Nie namyślając się długo, tego samego dnia już znajdowałem się w obozie Chmielińskiego, gdzie zastałem bardzo dużo kolegów z oddziału Bończy. Oddział Chmielińskiego uformował się z rozbitków Oksińskiego, Czachowskiego, a nawet z tamtej strony kolei, z kaliskiego, z oddziału Taczanowskiego, rozbitego pod Ignacewem.

Oto są szczegóły, opowiadane mi przez naocznych świadków bitwy pod Ignacewem, jednej z największych w powstaniu. Oddział Taczanowskiego doszedł do 3000 ludzi, głównie piechoty. Wiedząc o wyjściu jenerała Kostandy, także z trzema tysiącami ludzi i artylerją, Taczanowski postanowił przyjąć bitwę. W tym celu pod Ignacewem, oparłszy się tyłem o las, a z przodu zasłoniętym będąc umyślnie wykopanym rowem, oczekiwał nieprzyjaciela. O 12tej zaczęła się bitwa. Moskale spostrzegłszy gotowość powstańców do obrony, zastanowili się chwilę, podejrzywając w tej stanowczości lub wielkie siły, lub jakiś ukryty fortel. Puścili kilka granatów, z których jedne albo przenosiły, albo też nie dochodziły obozu powstańców, nie czyniąc im wielkiej szkody. W trakcie tego

wysłany przez Kostandę rekonesans doniósł, że las, o który się oparli powstańcy, jest niewielki i parę rot posłanych z tyłu zastraszyłoby buntowników i zrobiło wielką dywersją w ich obozie. Pomysł był dobry i Kostanda, dla zamaskowania swoich obrotów, kazał piechocie niby iść do ataku — dwie roty zaś i parę szwadronów kawalerji jednocześnie z tem odprawił na zajęcie tyłów. Powstańcy słysząc: hura! i widząc idących do ataku piechurów, przypuścili ich na 800 kroków i wtedy rozpoczęli rzęsisty ogień. Kostanda kazał trąbić do odwrotu i wnet szeregi jego zaczęły się cofać. Widząc to powstańcy, wyszli ze swoich szańców i zaczęli się posuwać za uciekającymi, nie zwracając uwagi na las, z którego zdawało się, że żadne nie grozi niebezpieczeństwo. Naraz usłyszeli za sobą strzały i wnet piechota moskiewska zaczęła się wysuwać i rozsypywać w tyraljerkę. Krzyk: Moskale w tyle! rozniósł popłoch w szeregach, zaczęli się chwiać, mięszać i już już przychodziło do ogólnej ucieczki, grożącej kompletnem rozbiciem, gdyby nie przytomność jednego z kapitanów piechoty, który skierował cały oddział jedyną drogą swobodną, to jest w bok lasu, utrzymując ciągle silny ogień i nie pozwalając się zupełnie otoczyć. Artylerja moskiewska, mając teraz przed sobą powstańców na otwartem polu, poczęła ich obsypywać kartaczami — trup szedł gęsto — jednakże w porządku nadspodziewanym, odstrzeliwając się z jednej i drugiej strony, i z groźną postawą uda-

ło się Taczanowskiemu wycofanie bokiem lasu — jedna tylko kompanja, pozbawiona oficera, który zginął w samym początku bitwy, cofnęła się w stronę przeciwną, i wpadłszy na ukrytą w lesie Moskwę, została prawie zupełnie zniszczoną. Noc przerwała dalszą utarczkę — bitwa ta trwała sześć godzin i padło z naszej strony około 200 ludzi — drugie tyle dostało się do niewoli. Moskale stracili w zabitych i rannych także ze 200 ludzi.

Taczanowski, którego nieprzyjaciel przestał ścigać, o kilka wiorst dalej położył się obozem. Ludzie sześciogodzinną bitwą byli bardzo znużeni i za przybyciem na miejsce pokładli się spać; nie sądzono bowiem, aby Moskwa miała ochotę dalej ich ścigać. Tymczasem o godzinie drugiej w nocy padły strzały — piechota moskiewska była od uśpionych najdalej o 300 kroków. Nie pomogły rozkazy i zaklęcia dowódców, chcących zaprowadzić jakiś porządek, co wreszcie w nocy arcy było trudnem — rozpoczęła się więc ucieczka. Dużo biegło na oślep na bagnety moskiewskie — a inni rozpierzchli się w różne strony. Wszystkie bagaże, furgony, masa broni wpadła w ręce Moskali. Był to ostatni oddział piechoty powstańczej w kaliskiem. Taczanowski ocaliwszy się w ogólnej ucieczce, schronił się za granicę, zkąd później wrócił objąć komendę nad kawalerją, najsilniejszą w powstaniu, bo liczącą 2000 ludzi — a rozbitki ocalałe z pod Ignacewa rozbiegły się po całym kraju — spokojniejsi i więcej umiarkowani do domu, a

zapaleńcy i energiczniejsi do innych oddziałów. Dużo ich było w obozie Chmielińskiego, którego dzieje i tragiczny koniec przyjdzie nam teraz po szczególe opowiedzieć.

Koniec księgi pierwszej.

ſCHMIELIŃSKI.

I.

Treść: Obóz Chmielińskiego i jego siły pod Chlewską Wolą — charakter wodza—karność—bitwa pod Obiechowem — rozdzielenie oddziału w Biały—obóz w Kątach —jeniec moskiewski—zabawna scena.

Siły Chmielińskiego po bitwie pod Rudnikami wynosiły 500 piechoty i 100 koni kawalerji. Na samym wstępie do obozu, dowiedziałem się, że za chwilę ma się odbyć egzekucja burmistrza z Pilicy, Dowbora, któren przekonany o kilkakrotne denuncjowanie powstańczych oddziałów, jak również o prowadzenie rozboju z kilkunastu łotrami, udając powstańców, skazany był przez Chmielińskiego na powieszenie, a syn jego dwudziestoletni wyrostek, wcielony został do piechoty. Nieprzyjemne to na mnie uczyniło wrażenie i poczytywałem to nawet sobie za złą wróżbę, która dzięki Bogu się nie sprawdziła.

Przedewszystkiem zameldowałem się Chmielińskiemu, któren z powodu oporu okazanego mu pod Seciminem po śmierci Bończy, krzywo na nas patrzał i nie miał zbyt wysokiej opinii o na-

szym rycerskim animuszu. Przeznaczony zostałem do kawalerji.

Rozejrzawszy się po obozie, uderzony byłem wielkim porządkiem i ścisłą karnością w żołnierzu. Nigdzie nie spostrzegłeś, jak w innych oddziałach, samowoli i niesforności, wszędzie tu czuć było rygor wojskowy i dyscyplinę militarną — nikomu nie wolno było na krok oddalić się bez rozkazu z obozu, rozdzielanie żywności prowadził z całą skrupulatnością wyznaczony do tego oficer, a żołnierz nie próżnował, ale ciągle czemś był zajęty. Kompletne przytem umundurowanie, składające się u kawalerji z granatowej kurtki, zapinanej na mosiężne guzy, takichże szarawarów i francuskiego kepi na głowie, u piechoty zaś, z białych płóciennych mundurów, zapinanych na metalowe guziki, takichże szarawarów wpuszczonych w buty i okrągłych czapek, prezentowało żołnierza dobrze i przedstawiało widok regularnego wojska, budzącego zaufanie u swoich i poszanowanie u wrogów.

W Chlewskiej Woli po mojem przybyciu staliśmy trzy tygodnie, niezaczepieni przez nieprzyjaciół i cały ten czas od świtu do zmroku przepędzaliśmy na mustrze i ciągłych ćwiczeniach. Chmieliński był niezmordowany, wszędzie i wszystkich uczył, nic bez jego wiedzy się nie działo, nic jego oka nie uszło, kontrolował nawet pikiety na swoich posterunkach. Jeden kawalerzysta o mało że życiem nieprzypłacił drzemki na koniu, skończyło się na batach i odesłaniu

do szpitala. Chciał prawie w każdego przelać tak swoją znajomość rzeczy, jak i poszanowanie dla regulaminu wojskowego. Literalnie cały dzień byliśmy umęczeni i nie jeden skrycie wzdychał do wolności, którą sam dobrowolnie postradał — niejeden zniechęcony i nie przywykły do obejścia, gdzie bizun grał niepoślednią rolę, byłby po prostu drapnął i szukał oddziału więcej łagodnego i umiejącego szanować godność osobistą, gdyby nie znana wszystkim surowość Chmielińskiego, z którym żartować nie było rzeczą bezpieczną. Surowość Bończy, w porównaniu z surowością Chmielińskiego była ojcowską łagodnością — ta okoliczność trzymała wszystkich w karbach należytego posłuszeństwa i upadając nieraz ze znużenia nikt nie śmiał pisnąć słówka, okazać tego choćby najmniejszym giestem niazadowolenia. Każdy rozkaz jak najskrupulatniej był spełniony. Najprzykrzejsze pamiętam były chwile mustry ogólnej, która zwykle odbywała się popołudniu i nierzadko się zdarzało, że nieumiejętnych lub okazujących choćby najmniejszą niesubordynację, wyprowadzano przed front i sypano po kilka lub kilkanaście batogów. Niewymownie to było przykrem, mianowicie dla paniczów, nie przypuszczających ażeby ośmielano się ich, walczących za swobodę i wolność, traktować tak haniebnie i nieodpowiednio. Powtarzam jeszcze raz, że byliby dawno dali drapaka gdzie pieprz rośnie, gdyby nie obawa kuli w razie złapania, jak tego mieli niedawno przykład na synu pewnego

obywatela z Sandomierskiego, który ukarany na mustrze za jakieś zuchwalstwo, tak to wziął do serca, że tejże nocy opuścił obóz wraz z koniem i bronią — przytrzymany przez władze cywilne którym Chmieliński surowo zalecił łapać dezerterów, został dostawiony do obozu i pomimo wstawiania się obywateli, oficerów, że to syn jedyny poczciwych rodziców, został w sześć godzin rozstrzelany. Był to czyn może nieludzki ale nieodzowny. Od tej pory, nikt już nie pomyślał o dezercji, która w innych oddziałach tak często i berkarnie się powtarzała.

Nad jazdą miał komendę jakiś Niemiec, podobno podoficer pruskich dragonów, nazwiskiem Belardi. Ten swoją popędliwością i surowością dał nam się we znaki potężnie, ale rzeczywiście wyuczył nas doskonale tak jazdy konnej, jak i obrotów wojennych. Baliśmy go się jak ognia!

W ciągu trzeciego tygodnia Chmieliński liczył 600 ludzi piechoty i 150 kawalerji.*) Piechotą dowodzili oficerowie zagranicznych wojsk, jak Tylman, Skąpski, Ropolewski i inni, których nazwisk dziś już nie pamiętam. Kawalerją dowodził rotmistrz Rzepecki, pod którym służyli porucznicy Belardi i Neumann. W tym stanie doszły nas wiadomości, że jenerał Czengiery

*) Cyfry przytoczone przez autora są przesadzone. Piechota Chmielińskiego liczyła 400 ludzi — kawalerja zaś 2 plutony, razem około 09 oludzi. Maksimum więc sił Chmielińskiego było 500 ludzi. (Przyp. wydawcy.)

wystąpił przeciwko nam z Kielc. Zadaniem Chmielińskiego było unikanie starcia, dla zyskania na czasie, wyćwiczenia żołnierza i skompletowania go w jak największej liczbie — postanowił przeto wycofać się i w tym celu w nocy zwinięto cichaczem obóz i wyruszyliśmy do Słupi nowej, a ztąd do Obiechowa, w kierunku Szczekocin. Moskwa przybywszy do Chlewskiej Woli i nie zastawszy tam nas, ruszyła naszymi śladami. O godzinie drugiej w nocy przybyliśmy do Obiechowa, gdzie nakazano spoczynek. Na mnie wypadła kolej pójścia na pikietę i postawiono mnie, wraz z drugim kompanem, od strony, zkąd spodziewany był nieprzyjaciel, o dwie wiorsty od obozu. Kiedy stanęliśmy na miejscu, zaczęło już świtać. Tutaj muszę wspomnieć o wypadku nader komicznym, który jednakże mógł się dla mnie zakończyć arcysmutnie. Przymuszony gwałtowną potrzebą, musiałem na chwilę zsiąść z konia — i będąc zaledwie w połowie procesu, widzę nie dalej jak o 200 kroków wysuwających się z lasu kozaków, lecących co koń wyskoczy. Zaledwie tyle miałem czasu, że zdążyłem wsiąść na konia i, wyjąwszy pistolet, strzeliłem, uwiadamiając obóz o nieprzyjacielu. Kolega mój, stojący odemnie o jakie 150 kroków, nic nie widział i dopiero wystrzał ocknął go prawdopodobnie z drzemki. Pędem ruszyliśmy do obozu, mając na piętach kilkunastu kozaków, których zapał stojąca w opłotkach piechotna nasza wedeta powstrzy-

mała. Nieład mego ubrania łatwo można sobie wyobrazić.

Obóz zastaliśmy w ruchu, furgony i bagaże wychodziły naprzód — piechota stała w porządku. Chmieliński na jej czele wychodził za wieś ku Szczekocinom na obszerne pole — kawalerji zaś kazał stanąć na prawem skrzydle, opierając ją o niewielki lasek. Piechota rozsypała się w tyralierkę — a zaraz też ujrzeliśmy i piechotę moskiewską, postępującą łańcuchem tyralierów, a jazda, składająca się ze szwadronu dragonów i sotni kozaków, pędziła co koń wyskoczy, chcąc nas odciąć od wspomnionego lasku. Chwalebny ten zamiar sparaliżowała im nasza piechota, przywitawszy ich rzęsistym ogniem, a że nie był bez skutku, najlepszym tego dowodem było kilka koni bez jeźdźców, biegających po polu. Poczęstowani tak dragoni stanęli, zsiedli z koni — a że większa część naszej kawalerji była zaopatrzona w sztućce, więc toż samo i my uczyniliśmy i zaczęła się strzelanina. Tymczasem piechota nasza, prowadzona osobiście przez Chmielińskiego, w wybornym porządku cofała się ku Szczekocinom, nie poprzestając ani na chwilę rzęsistego ognia. Niedługo nadbiegł adjutant Chmielińskiego z rozkazem do kawalerji, stojącej prawie w jednej linji z piechotą, cofania się — i była rzeczywiście pora po temu. Nacierająca bowiem coraz bliżej i niebędąca dalej jak o 600 kroków piechota moskiewska obsypywała nas gradem kul, czyniąc dosyć znaczne szkody w koniach i ludziach. W pierwszej chwili, kie-

dy zsiedliśmy z koni, pochwyciłem mój sztuciec i przyklęknąwszy, wziąłem na cel jednego dragona, stojącego może o jakie 600 kroków. Strzał padł — i dragon zsunął się z konia. Czy to była moja kula, czy też którego piechura, nie wiem, dość że dostałem ogólny poklask i wielu znalazłem naśladowców, ale rozkaz do odwrotu przerwał nam popisy strzeleckie. Przeszedłszy małą rzeczkę pod gęstym ogniem, dostaliśmy się do lasu, który nas w części zasłaniał od pocisków — piechota nasza także powoli się cofając i zabierając po drodze swych rannych, schroniła się do lasu. Pole, na którem odbyła się opisana utarczka, użyźniło się po raz drugi naszą krwią — przed 69 laty, w tem samem miejscu, w 1794 roku, stoczył Kościuszko bitwę z Moskwą i Prusakami, tak nazwaną w historji bitwę pod Szczekocinami.

Moskwa, poprzestawszy ognia, odpoczywała, a cały nasz oddział powolnym marszem zbliżał się do Szczekocin. Odetchnąwszy chwilkę i uporządkowawszy się, ruszyliśmy do Siedlisk, milę za Szczekocinami. Tutaj doniesiono Chmielińskiemu, że nieprzyjaciel wrócił napowrót do Kielc; wiadomość ta jednakże okazała się mylną, gdyż po przybyciu naszem do Biały, dowiedzieliśmy się, że Moskwa cofnęła się pozornie ku Kielcom, dla zamaskowania swych ruchów, w rzeczy zaś samej w nocy zwróciła się nazad i znajdowała się od nas o małą milkę. Oprócz tego dano znać, że dwa nieprzyjacielskie oddziały wyszły na nas z Piotrkowa i Częstochowy —

byliśmy więc zupełnie otoczeni i w którą stronę zwrócilibyśmy się, wszędzie spotkalibyśmy wroga i to przeważnego co do liczby. Położenie było zastraszające i prawie nie do wyjścia — przytomność Chmielińskiego ocaliła nas. Dzieli on piechotę i kawalerję na drobne oddziały po 50 ludzi i rozsyła w różne strony, naznaczając punkt zborny w jednej wiosce około Włoszczowy. Był to pomysł prawdziwie partyzancki, i w skutkach okazał się nader praktycznym. Rozdzielenie to miało miejsce przed wieczorem, a nadeszła w niespełna godzinę Moskwa nie wiedziała jak się pokierować *), zeznania bowiem włościan nie na wiele im się mogły przydać. Dowiedzieli się, że powstańcy i tu i tam. Nadeszłe wojska z Częstochowy i Piotrkowa nawet śladu powstańców nie spostrzegły, a wedle obliczenia i wiadomości swoich, winni byli niezawodnie wyłapać buntowników co do jednego. Po złożeniu narady, uznali za stosowne powrócić do domu, ściganie bowiem drobnych oddziałków zmęczyłoby tylko żołnierza a korzyści żadnej nie przyniosło — sami zaś dzielić się na podobnie drobne części nie mieli ochoty czy odwagi. Fortel więc Chmielińskiemu najzupełniej się udał — szło mu bo-

*) Musimy tu uczynić sprostowanie. Podział ten, o którym autor mówi, nie nastąpił wieczorem. Owszem Chmieliński stał całą noc w Biały i mając zamiar o świcie wyruszyć, został napadnięty przez kozaków, którzy oddział rozpędzili. Skutkiem tego rozpędzenia dopiero, Chmieliński podzielił oddział. Bitwa pod Obiechowem miała miejsce dnia 14. sierpnia 1863 r. (Przyp. wydawcy.)

wiem głównie o czas, niezbędny warunek dla nowego zorganizowania swoich sił, zapełnienia luk powstałych w skutek bitwy pod Obiechowem i przyprowadzenia rzeczy do dawnego porządku. W bitwie pod Obiechowem mieliśmy 30 zabitych i 70 ranionych — o stratach Moskwy pewnych wiadomości nie było.

Na trzeci dzień wszystkie oddziałki zebrały się we wsi Kąty. Tutaj staliśmy dziesięć dni i cały ten czas Chmieliński poświęcił mustrze i porządkowaniu swoich ludzi. Nie pamiętam w ciągu całego powstania tak przykrych i ciężkich dni jak w Kątach. Przez tydzień przeszło deszcz lał jak z cebra, a służba była tak uciążliwa, mianowicie dla kawalerji, wysyłanej na ciągłe pikiety, patrole i rozjazdy, żeśmy zaledwie po parę godzin na dobę sypiali i to najniewygodniej, bo na wpół w błocie, przemokli, zgłodniali i zupełnie z sił wycieńczeni. Nie wiem skutkiem czego, ale brakło nam żywności i raz 24 godzin literalnie nic w ustach nie mieliśmy, a wieś była tak ogłodzona, że kartofla na lekarstwo by nie znalazł. Nareszcie odebraliśmy rozkaz gotowania się do marszu i na drugi dzień roztasowaliśmy się na dobre w pierwotnym obozie w Chlewskiej Woli, gdzie zdawało nam się jakoś wygodniej i bezpieczniej. Lud prosty mianowicie w tych stronach odznaczał się rzadką przychylnością i o każdym ruchu nieprzyjaciela natychmiast nam donosił.

W Chlewskiej Woli powtórnie staliśmy dwa tygodnie i oddział nasz powiększył się do

700 ludzi piechoty i 200 kawalerji *), zupełnie zaopatrzonej w rynsztunek wojenny. Dla czego Moskwa zostawiała tyle czasu Chmielińskiemu, dając mu możność należytego zorganizowania się i wyrobienia żołnierza? to dla nas było zagadką.

Pod koniec drugiego tygodnia naszego pobytu w Chlewskiej Woli, zdarzył się dosyć śmieszny wypadek, który w krótkości postaram się opowiedzieć. Kurjer naszego oddziału pan M***, wracając z Częstochowy, spostrzegł za miastem pod karczmą pijanego żołnierza moskiewskiego, w mundurze artylerzysty. Przychodzi mu koncept zabrać go ze sobą i przy pomocy swego woźnicy podnosi z ziemi żołnierza, pakuje na bryczkę i przykrywszy fartuchem pędzi z tym osobliwszym nabytkiem do obozu Chmielińskiego. Biedny Moskal musiał być ścięty jak bela, kiedy w ciągu sześciomilowej podróży nie zdołał się ocknąć. W obozie wyjęto go z bryczki, położono pod drzewem, czekając rychłoli się ocknie. Po paru godzinach zaczął się budzić, poruszać i w końcu podniosłszy głowę usiadł, spojrzał raz, drugi, przetarł oczy, coś mu się widać zdawało niepodobnem, gdyż znowu się położył. Po półgodzinnej drzemce, znowu podniósł głowę i zaczął się przypatrywać otaczającemu go obrazowi,

*) Znowu pomyłka, oddział Chmielińskiego nigdy nie liczył takich sił. Dwutygodniowe obozowanie w Chlewskiej Woli przywróciło oddział zaledwie do pierwotnej siły.
(Przyp. wydawcy).

kiwać głową, mruczeć i żegnać się. Obudziło się w nim coś w rodzaju czarnego podejrzenia, poczytywał to za senne widziadło i obłęd nieczysty i znowu się położył. Ocknąwszy się poraz trzeci i widząc, że groźne widziadła nie ustępują i ciekawie na niego patrzą, zaklął duserem moskiewskim i wykrzyknął:

— Eto szto takoje, szto za czort! nie panimaju!

Wtem nadszedł Chmieliński i „zdarowo brat„! jakby iskrą elektryczną podniosło na wpół odurzonego wrażeniami Moskala.

— Katoroj baterji? — pyta dalej Chmieliński.

— Czetwiortoj Wasze Błagarodje.

— A cztosz, nie uznajesz poruczika Chmielińskawo!

— Toczno tak wasze błagarodje.

— Nu brat, kak tiebie każetsa, ty gdie tiepier?

— Nie magu znat' wasze błagarodje.

— A żełajesz-li ty służyt' w polskich sołdatach?

— Kak prikażetie wasze błagarodje.

— No charaszo brat, stupaj tiepier kuszat'!

— Słuszajus! i odwrócił się niewinny artylerzysta lewo w tył i udał się prosto do kotła. Traf tak zrządził, że żołnierz ten niegdyś był pod komendą Chmielińskiego, służył bowiem w tej samej baterji co i on i odrazu go poznał. Nie mogła mu tylko ta metamorfoza, na żaden

żywy sposób pomieścić się w głowie. Długi czas myślał, że to żarty i że wraz ze swoim porucznikiem powróci do artylerji, powtarzając ciągle, że to „nie ich dieło.“ W tem oczekiwaniu doczekał się śmierci, w pierwszej bowiem potyczce, zdaje się pod Ciernem został zabity, a przez cały czas był ślepo posłuszny i literalnie spełniał każden rozkaz, ale tylko Chmielińskiego. Pijak był niepoprawny i to było przyczyną jego śmierci. Fakt ten przekonywa jak żołnierz moskiewski jest jeszcze ciemny; zdać sobie sprawę z jakiegoś czynu, rozróżnić obowiązek od występku, jest dla niego czemś w rodzaju węzła gordyjskiego, lub niepojętych cudów natury. Nad rozwiązaniem kwestji przechodzącej jego zwierzęce i na wpół dzikie pojęcia nawet nie zadaje sobie pracy — całą jego zaletą jest ślepe posłuszeństwo i niewolnicza cześć dla despotyzmu. Prawdopodobnie w takich warunkach tylko, naród ten może być niebezpieczny i silny, w przeciwnym razie przy wrodzonej chytrości charakteru, surowości obyczajów i egoizmie, rozpadłby się dawno i służył niewolniczo ludom Wschodu po dawnemu. Ale wróćmy do naszego opowiadania.

II.

Treść: Bitwa pod Przedborzem — Taczanowski pod Sędziejowicami i Kruszyną — obóz w Żeleźnicy i oddział Iskry — ściganie nas przez Moskwę — bitwa pod Ciernem — nasze straty — utarczki pod Warzynem i Czarncą — moje błądzenie po lesie — obóz w Drochlinie.

Po piętnastu czy szesnastu dniach spokojnego pobytu w Chlewskiej Woli, dano nam znać, że Moskwa wyruszyła z Kielc i już jest niedaleko. Nad wieczorem przeto zwinięto obóz i wyruszyliśmy do Czaryża — tu odpocząwszy chwilkę puściliśmy się dalej ku Przedborzowi, mając za sobą nieprzyjaciela ciągle na piętach. Przeszedłszy Maluszyn, zatrzymaliśmy sie w małej wiosce około Przedborza. Ledwie popuściliśmy szkapom popręgi i siedli do przygotowanego śniadania, gdy strzał dany przez pikietę, zaalarmował cały obóz a niebawem ujrzeliśmy i pikietę, gnaną przez kozaków i dragonów.

Piechota nasza stojąc w porządku, rzęsistym ogniem wstrzymała szalony ich zapęd — stanęli oczekując nadejścia swojej piechoty i artylerji, która rzeczywiście niedługo nadbiegła i rozpoczęła ogień, wyrzucając od czasu do cza-

su po parę granatów, które nam żadnej szkody nie czyniły, padając bowiem nie pękały wcale, lub przenosiły nas. Rozpoczęło się powolne cofanie do lasu, odległego przynajmniej o cztery wiorsty. Zaledwie przeszliśmy Przedbórz, gdy spostrzegliśmy, że nieprzyjaciel zaprzestaje pogoni i obiera zupełnie przeciwny kierunek. Nie mogliśmy wyjść z podziwienia, dopiero przybywszy do Czermna, wyjaśniono nam tę zagadkę. Oddział Iskry stojący koło Przedborza, usłyszawszy strzały, domyślając się, że to bitwa powstańców z Moskwą, wyruszył z pomocą i on to właśnie w czasie naszego przechodu przez Przedbórz wychylił się z lasu na czyste pole i ściągnął na siebie uwagę nieprzyjaciela.

Utarczka pod Przedborzem była prawie bez rezultatów, gdyż Iskra schował się napowrót do lasu a Moskale nie mieli jakoś ochoty ścigać go. Odpocząwszy chwilkę w Czermnie, ruszyliśmy dalej do Talkowa a ztąd do Skotnik. W lesie rozłożyliśmy się obozem — ludzie prawie upadali ze zmęczenia i głodu — całą dobę nic w ustach nie mieliśmy a koni nie było nawet czem napoić. Tutaj dowiedzieliśmy się, że po wyjściu naszem z Czermna, Moskwa może w godzinę później podkradła się, ale zastała tylko ciepłe miejsce. W Skotnikach przybyło do nas kilku kawalerzystów z końmi i bronią z oddziału Taczanowskiego, rozbitego ostatecznie pod Kruszyną; opowiadali nam o niedołęztwie tego dowódzcy, który sformowawszy przeszło tysiąc ludzi samej kawalerji, włóczył się po kraju bez

żadnej korzyści wycieńczając jedynie takowy do ostatka. Byli oni świadkami naocznymi i uczestnikami zwycięztwa nad 50 kozakami kubańskimi, dowodzonymi przez rotmistrza Grabbe, pod Sędziejowicami niedaleko Błaszek.

Pan Grabbe, rotmistrz huzarów, wespół z trzema swymi kolegami, prosił aby mu dano 50 kozaków kubańskich i twierdził, że z tą siłą rozbije cały oddział Taczanowskiego. Przychylono się do jego prośby i niezwłocznie wyruszył w pogoń za powstańcami. Pod Sędziejowicami natknął się na cały dwutysięczny oddział Taczanowskiego. Sądził on, że powstańcy na sam widok moskiewskich mundurów zaczną uciekać, że łatwo odniesie zwycięztwo, które ozdobi jego piersi orderami, a tymczasem pokazało się zupełnie co innego — powstańcy na atak odpowiedzieli atakiem. Grabbe spostrzegł się ale za późno, przekonał się, że nawet kozakami kubańskimi atakować taką masę jazdy jest rzeczą ryzykowną. Postanowił więc cofnąć się, niestety! jedyna pozostała droga odwrotu została przez Taczanowskiego zajętą. Moskale literalnie byli otoczeni, poddać się po tylu przechwałkach, było to samo co narazić się na ogólną śmieszność i szykanę — zamierzył zatem bronić się do ostatniego i w tym celu schronił się na cmentarz, kazał ludziom zsiąść z koni i rozpoczął ogień do nadciągających powstańców. Rachował może na jaką szczęśliwą okoliczność, która mu poda sposób wydobycia się z tego ze wszech miar smutnego położenia. Taczanowski

ze swej strony, widząc taką małą garstkę, wysyła parlamentarza, żądając poddania się — odpowiedziano wystrzałami. Przypuszczono atak konno, strzelając z karabinów, co jednak okazało się bezowocnem i niepraktycznem, kozacy bowiem schronieni za drewnianem oparkanieniem cmentarza razili celnie nacierających i zadawali ciężkie straty. Kazano więc zsiąść z koni i przypuszczono atak pieszo. Zawiązała się walka krwawa, kozacy drogo chcieli sprzedać życie. Powstańcy rozdrażnieni oporem takiej garstki, chcieli koniecznie postawić na swojem, żeby nie okryć się śmiesznością i tchórzostwem. Walczono zawzięcie, w końcu liczba musiała wziąć górę, wystrzelano prawie wszystkich, pozostało kilku rannych i na pół umierających. Grabbe zginął, ocalało tylko dwóch jego towarzyszów, którzy się dostali do niewoli. Niestety! zwycięztwo to kosztowało nas około 80 ludzi w rannych i zabitych. Zacięty opór Moskali na Sędziejowickim cmentarzu, jakiż przykład dla nas!

Wkrotce po tem zwycięztwie Taczanowski został rozbity zupełnie pod Kruszyną a z jego tysiącznego oddziału i śladu nie pozostało. Sam schronił się zagranicę *).

Ze Skotnik wyruszyliśmy lasami pod Pilczycę do Żeleśnicy, miejscowości położonej wśród nieprzebytych lasów i trzęsawisk. Tu Chmieliń-

*) Taczanowski pod Sędziejowicami bił się dnia 26. sierpnia 1863 r.

ski postanowił się zatrzymać dłużej, wypocząć po tylu marszach i przyprowadzić oddział do dawnego porządku. Staliśmy tu ośm dni a obok nas w Olesznie, Iskra z czterystu ludźmi, gdzie jak nas dochodziły wieści, straszny panował nieład i działy się różne oburzające nadużycia, aprobowane a przynajmniej tolerowane przez samego dowódzcę.

Z Żeleśnicy wysłany pewnego pięknego poranku rekonesans pod Krasocin, wrócił z wiadomością, że Moskwa szybkim marszem zbliża się ku nam. W nocy przeto tego samego dnia, wyruszyliśmy do Łachowa za Włoszczowę, a ztąd do Żelisławic. Tu odpocząwszy kilka godzin, udaliśmy się przez Rogienice do Kanic pod Jędrzejów. Moskwa trop w trop szła za nami. Z Kanic wyszedłszy, koło godziny drugiej w nocy stanęliśmy na niewielkiej polance, otoczonej zewsząd lasami dla chwilowego wypoczynku. Noc była straszliwie ciemna, leżąc przy koniach i trzymając cugle w ręku drzemaliśmy tak do świtu, aż tu naraz gdy cokolwiek zaczęło się przejaśniać, widzimy nie dalej, jak o 50 kroków kozaka na siwym koniu, prawie w środku obozu naszego, a nie długo usłyszeliśmy strzał jeden i drugi na pikiecie. W tej chwili przyskoczył Chmieliński i kawalerję z furgonami wysłał na przód, a sam na czele piechoty, pozostawiwszy przy sobie trzech kawalerzystów, w liczbie których i ja byłem, zaczął się gotować do odporu i zaraz z pojawiającą się piechotą nieprzyjacielską rozpoczęła się gęsta strzelanina. Działo się

to w lesie, z którego Moskwa chciała wyparować naszą piechotę na czyste pole, co wreszcie po półgodzinnej walce udało jej się. Wtenczas huknęły armaty i grad kartaczy posypał się na nas. Żołnierz nasz, nie zmięszany tem, w wzorowym porządku, w postawie nakazującej poszanowanie, cofał się zwolna, zasłonięty łańcuchem tyralierów i sypiąc rzęsisty ogień na długie i głębokie linie wroga. Kawalerja zaś nasza, którą wyprawiono naprzód, wpadła jak kamień w wodę, przez całą bitwę nie widzieliśmy jej wcale. Postępując na czele piechoty, wraz z Chmielińskim, poczytywani za dowódzców, obsypywani byliśmy gradem kul i kartaczy. Piechota moskiewska postępowała za nami nie dalej jak o 500 kroków. Naraz koń mój podskoczył, kula mu przeszyła nogę i zaczął kuleć, a tu z boku widzimy, że zajeżdża nam drogę chmura dragonów usiłując nam przeciąć odwrót. Szczęściem przytomny oficer piechoty naszej Tylman, skierował na nich cały ogień swej kompanji i za chwilę widzieliśmy tylko ogony końskie. W istnie powstańczym nieładzie rozpierzchli się po całem polu, odsadzając się od nas najmniej na dwie wiorsty. Gdyby byli śmiało przypuścili atak, bylibyśmy zgubieni, widziałem na twarzy Chmielińskiego żywy niepokój w chwili gdy dragoni rozwijali się do ataku.

Pod strasznym ogniem artylerji i piechoty, na przestrzeni czterech co najmniej wiorst, dociągnęliśmy do Cierna, za którem rozpoczynał się o kilkaset kroków las. Moskale zaczęli zwalniać

kroku, strzały były coraz rzadsze i po chwili wszystko ucichło. Przed samem Ciernem wypuszczony granat, rozciął na pół jednego żołnierza, biedak nie czuł nawet chwili zgonu*).

Upadając ze zmęczenia przybyliśmy do Rakoszyna, gdzie porachowawszy się, ujrzeliśmy wielki ubytek w naszych szeregach. Zabitych mieliśmy 80 i tyluż rannych, kilkudziesięciu dostało się do niewoli w samym początku bitwy. Moskiewskie straty jak zwykle były mniejsze, jednakże w zabitych i rannych, których zwieźli do Cierna liczyli 70 ludzi. Tutaj zginął kapitan drugiej kompanji Skąpski były oficer austrjacki i Ropolewski, obaj oficerowie odważni i zdolni.

Co do mnie będąc właściwie po raz pierwszy świadkiem zawziętej bitwy, przyznać musiałem, że jedynie piechota coś znaczyła i jakie takie korzyści mogła odnosić. Odwaga i porządek cofającej się naszej piechoty pod Ciernem. był wzorowy i wcale nie zakrawał na bezładną ucieczkę. Czengiery nawet patrzący przez lunetę na całą bitwę z zadziwieniem miał powiedzieć: „patrzcie! to oni się biją na prawdę.“ Cóż z tego, kiedy pomimo zalet i przymiotów wojskowych odznaczających nasze garstki powstańcze, przeznaczeniem ich było ciągle uciekać i uciekać.

W Rakoszynie złączyła się z nami kawalerja, która tak niefortunnie prysła odrazu z pola bitwy. Usłyszeli też ciężkie wyrzuty od

*) Bitwa pod Ciernem stoczona była d. 22. września 1863 (przyp. wydawcy).

Chmielińskiego, który przysiągł, że jeżeli jeszcze raz dopuszczą się czegoś podobnego, każe dziesiątkować tchórzy. Po czterogodzinnym może wypoczynku doszła nas wiadomość, że Moskwa zbliża się ku nam, i widocznie nieprzyjaciel postanowił nas rozbić do szczętu. Ruszyliśmy więc dalej, a ja na moim postrzelonym koniu ledwie podążać mogłem. Po dwudziesto-czterogodzinnym marszu przybyliśmy nad wieczorem do Warzyna. Rozkazano nam na chwilę spocząć, ale w parę godzin spoczynek został przerwany strzałem danym na pikiecie i w kilka chwil ujrzeliśmy pędzących dragonów. Piechota nasza stojąca w pogotowiu, przyjęła ich rzęsistym ogniem i to, jak zwykle, powstrzymało ich nieco. Pozsiadali z koni i zaczęli powolny, dobrze utrzymany ogień, który jednak nie czynił nam żadnej szkody. Był to tylko manewr, usiłowali nas zabawić, chcąc się doczekać swej piechoty, która w istocie w kwadrans może wraz z artylerją nadciągnęła i zaraz rozpoczęła ogień. Z wyrzuconych granatów jeden zapalił nowo wybudowaną gorzelnię, która cała stanęła w płomieniach.

Chmieliński widząc się znowu pod naciskiem przeważnych sił, począł się cofać ze swoim, znacznie uszczuplonym oddziałem, jak najspieszniej do pobliskiego lasu, tej jedynej i naturalnej naszej fortecy. Dopadłszy takowego, czuliśmy się już na wpół bezpieczni, ile, że nieprzyjaciel zwolnił pogoń i tylko kiedy niekiedy dochodził nas strzał karabinowy. Po forsownym marszu przybyliśmy do Oksy, a odpocząwszy

chwilkę, ruszyliśmy do Nieznanowic, gdzie pierwszy raz po trzechdniowej rejteradzie, pozwolono nam zdrzemnąć się nieco, nierozkulbaczając jednakże koni. Około 12-ej w południe dano nam znać, że Moskwa postępując wciąż naszymi śladami, znajduje się zaledwie o pół mili od nas. Wyruszyliśmy więc pośpiesznym marszem przez Włoszczowę, Lachów do Czarncy, gdzie nieprzyjaciel w lesie dopędził nas i na przywitanie posłał nam parę granatów. Las się zaraz kończył a przed nami roztwierało się czyste pole. Położenie więc było nie do pozazdroszczenia i resztka naszej piechoty musiałaby koniecznie być zniszczoną Znużenie jej nie pozwalało nawet myśleć o ucieczce, przyjąć zaś bitwę z przeważną siłą, było to samo co dać się wyciąć w pień. Jakem powiedział byliśmy na skraju lasu, i jedna chwila wahania albo nie zdecydowania się, a rozbicie pewne i zupełne.

W takiem położeniu rzeczy, Chmieliński rozkazał Tylmanowi skręcić w bok lasu i iść gdzie oczy poniosą, sam zaś z kawalerją wyskoczył na pole i sformował nas w dwa rzędy, gotując się do odporu. Był też i czas potemu, gdyż dragoni i kozacy już się zaczęli wychylać z lasu i szykować do ataku. Niepewność tylko, co się zrobiło z naszą piechotą, czy nie urządzono jakiej zasadzki, na chwilę ich powstrzymała od rzucenia się na nas. Stojąc tak naprzeciw siebie, nie dalej jak o sto kroków, oczekiwaliśmy wzajemnej napaści. Śmiałość nasza dotąd niepraktykowana, wydała im się czemś niena-

turalnem i podejrzanem, jakoż dziś jeszcze nie mogę pojąć dla czego się wahali, albowiem gdyby byli przypuścili szarżę jak się należy, byliby nas rozbili w puch.

Rozpoczęły się strzały i pojedyncze harce z jednej i drugiej strony i trwały może z kwadrans, aż Chmieliński zobaczywszy wychylającą się z lasu rosyjską piechotę, dał znak do odwrotu. Ruszyliśmy z początku stępa, a potem pędem. Tu już bez porządku i komendy zaczęła się ogólna ucieczka i pogoń Moskali. Byłem wtedy w strachu potężnym. Konia mego rannego zostawiłem w Rakoszynie, a na to miejsce dostała mi się jakaś nędzna i chuda szkapa ze źrebięciem, której ani batem, ani ostrogami rady dać nie mogłem, i na niej to miałem obecnie odbywać śmiertelne wyścigi. Poleciłem się Bogu oczekując na pewno śmierci lub niewoli, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy owa nędzna szkapa, na którą żadne rzeczy nie pomagały, czy z tchórzostwa, czy przez miłość własną, dosyć, że przodowała wszystkim i leciała „z wiatrem w zawody". Zdawałoby się, że zapał jaki ją ożywiał podsycany był panicznym strachem jej pana.

Wyścigi te miały miejsce na przestrzeni pięciu wiorst, a Moskwa, mianowicie kozacy na lżejszych koniach dojeżdżali nas coraz lepiej, rąbiąc pozostałych w tyle. Dopadliśmy przecie miasteczka Secymina i to powstrzymało na chwilę szalony pościg Moskwy, która się obawiała jakiej zasadzki. Ten moment wahania się ocalił

nas, za Secyminem bowiem był las, którego dopadłszy czuliśmy się ocalonymi. I tak też rzeczywiście się stało, Moskwa zwolniła pogoni a widząc nas wjeżdżających w krzaki, poprzestała jej zupełnie, obrabiając resztki naszych, którym konie ustały. W moich oczach kozacy, pomimo rzucenia broni na znak poddania się, zrąbali jednego biedaka.

Tak się jakoś złożyło, że w lesie cały oddział straciłem z oczu i sam jeden, wązką jakąś drożyną puściłem się na chybił trafił, i po kilku minutach dostałem się w taką gąszcz, że kroku dalej postąpić nie mogłem. Zwróciłem się więc na lewo, gdzie świeciła jakaś drożyna i wyjechałem na drogę którąśmy uciekali. O staje może spostrzegłem kilku kozaków zajętych obdzieraniem czy też dobijaniem naszych, oczywiście zawróciłem do lasu i po niejakim czasie śpiesznej jazdy, wydostałem się na jakąś łączkę bagnistą, której przejechać w żaden żywy sposób nie było można. Po licznych i mozolnych usiłowaniach udało mi się nakoniec ją przebyć i wjechałem do nieznanej mi wioski a spotkawszy chłopa, dowiedziałem się od niego, że znajduję się pod Rudnikami. Skierowałem się na małe wzgórze sterczące śród pola i spostrzegłem rzeczywiście znaną mi wieś, ale zarazem w oddaleniu 2-ch może wiorst długi szereg kawalerji. Po bliższem rozpatrzeniu się, przekonałem się, że to są nasi rozbitki, puściłem się więc w tym kierunku. Przybywszy do Rudnik, wywołałem w swych kolegach radośne zdziwienie, mieli mię

bowiem już za straconego a nawet jeden zapewniał, że widział mnie spadającego z konia. Widocznie pod wrażeniem granatów i dragońskiej szabli troiło mu się w głowie. Radośniejsze jeszcze było przywitanie mojej kobyły ze swym synkiem, który odłączył się od matki i uważał za bezpieczniejsze trzymać się całego oddziału.

Opłakany stan przedstawiał nasz, nie dawno tak świetny oddział; ludzie zbiedzeni, konie ledwo dźwigające swych jeźdźców, nieznany los piechoty i obawa nowego najazdu, odbierały ducha najenergiczniejszym i najwytrwalszym. Byliśmy tak strudzeni tą ciągłą pogonią i brakiem odpoczynku, że każden padał gdzie stał. Ludzie pomimo surowego rozkazu spali na pikietach i gdyby nieprzyjaciel uderzył na nas tej nocy w Rudnikach, lub zaalarmował, niewiem do czegoby doszło. Prawdopodobnie porznąłby nas jak baranów, lub rozbiegłoby się wszystko do reszty.

Pierwszy to raz właściwie Moskwa nas tak zawzięcie i z taką zajadłością ścigała; chciała nas rozbić i zniszczyć ze szczętem i byłaby tego dopięła, gdyby miała trochę więcej wytrwałości. Co do nas, wydostawszy się raz z jej pazurów, odżywiając się nieco, oczekiwaliśmy ze spokojem dalszych walk i cierpień, nieodłącznych od życia jakie wiedliśmy.

III.

Treść: Obóz w Dorchlinie — Iskra i jego aresztowanie — sąd i wykonanie wyroku — bitwa pod Małchowem — odpoczynek w Rogienicach — rozdzielenie oddziału — Neuman z kawalerją — utarczka rod Stawami — Markowski obejmuje dowództwo.

Z Rudnik wyszliśmy do Kluczeska na drugi dzień rano i popasłszy koni, wróciliśmy z powrotem przez Kurzelów do Rudnik, gdzie Chmieliński spodziewał się zastać swoją piechotę. Moskwa była ciągle w bliskości i zgubiony na chwilę ślad nasz, starała się koniecznie odszukać. W Rudnikach nastąpiło rzeczywiście połączenie się z piechotą, która po dwudniowym odpoczynku przychodziła po trosze do siebie. Liczba jej nie przechodziła 300 ludzi, i chcąc się odsunąć dalej od nieprzyjaciela, wyruszyliśmy do Drochlina. Tutaj Chmieliński postanowił odpocząć dłużej i przyprowadzić do porządku swój oddział.

O małe pół milki od nas, stał ze swym oddziałem Iskra. Nie wiedzieliśmy, że Chmie-

liński miał polecenie Rządu Narodowego złożyć na niego sąd wojenny i w razie przekonania go i dowiedzenia zarzucanych mu przekroczeń, ukarać śmiercią. Na trzeci dzień naszego pobytu w Drochlinie, Chmieliński posłał wezwanie do Iskry, zapraszając go, aby przybył niezwłocznie w interesie nader ważnym i niecierpiącym zwłoki. Iskra przybył, ale czy to miał jakieś podejrzenie, czy przeczucie nieosobliwe, czy też po prostu uważał za stosowne, jako dowódzca osobnego oddziału, otoczyć się świtą, dosyć, że przybył w asystencji całej swej kawalerji, wynoszącej około 50 ludzi. Na wstępie i bez żadnych ogródek, Chmieliński oświadczył mu cel wezwania, nadmieniając przytem, że wyznaczony przez niego sąd wojenny, po dokompletowaniu dwoma członkami, wybranymi z własnych Iskry żołnierzów, już jest zebrany i oczekuje na rozpoczęcie swoich czynności. Zmięszał się na tę wiadomość Iskra i zażądał polecenia Rządu Narodowego, które przeczytawszy, oświadczył, że wcale nie przyznaje się do czynionych mu zarzutów, że oczerniono go jak najhaniebniej w oczach Rządu Narodowego, i nakoniec nie uważa za stosowne, aby równy mu stopniem miał go sądzić. Otaczający go zaś ludzie oznajmili, że nigdy nie dopuszczą, aby uczyniono najmniejszą krzywdę ich dowódzcy. Ale odpowiedź podobną Chmieliński przewidział i gdy Iskra po danej odpowiedzi zabierał się do wyjścia, ujrzał przed sobą rząd bagnetów, zagradzający mu drogę. Odwrót więc był niemożebnym, tem wię-

cej, że ludzie Iskry zostali otoczeni i rozdzieleni ze swym wodzem. Chmieliński zaś, wydobywszy rewolweru i zwróciwszy się do upornych, zawołał, że na najmniejszy opór, stawiany przez nich prawnym rozporządzeniom Rządu Narodowego, których on jest wykonawcą, w łeb strzeli każdemu.

Determinacja ta, jak również niemożliwość oporu, wywarła uspokajający wpływ na otoczenie Iskry, niedawno tak stanowcze i burzliwe — pokornie odpowiedzieli, że jeżeli to jest wolą Rządu Narodowego, to oni, jako dobrze życzący krajowi, nie chcą okazywać się nieposłusznymi i być powodem rozruchów. W parę godzin potem, sąd wojenny, na którym prezydował kapitan Tylman, przekonawszy się o istotnych i niezaprzeczonych przekroczeniach i oburzających ludzkość gwałtach, popełnionych przez dowódzcę oddziału Iskrę, wydał na niego wyrok śmierci przez rozstrzelanie — który niezwłocznie został wykonany.

W ostatniej chwili Iskra oprzytomniał i poszedł śmiało na plac śmierci. Aczkolwiek o nadużyciach jego wszyscy byli przekonani, jak również, że wydany wyrok jest słusznym i sprawiedliwym, jednakże z uwagi na jego młodość, brak doświadczenia i w ogóle litość nad nieszczęśliwym, mnóstwo było wstawiających się do Chmielińskiego o złagodzenie wyroku i wcielenie do szeregów jako prostego żołnierza — lecz Chmieliński okazał się niewzruszonym, tę

podając przyczynę, że nie jest mocen łamać postanowień i wyroków sądu wojennego, sprzeciwiać się woli Rządu Narodowego i tolerować nadużycia i bezprawia. Aby uniknąć dalszego natręctwa proszących, kazał przyśpieszyć wykonanie wyroku o pół godziny, co też i spełniono.

Iskra, właściwie Sokołowski, był zdaje się oficerem wojsk rosyjskich. Kto zaś on był w gruncie rzeczy, szczegółowa przeszłość jego i z kąd rodem, o tem nikt mnie należycie objaśnić nie mógł. Po wykonaniu wyroku, niezwłocznie sprowadzono resztę oddziału nieboszczyka, składającą się z piechoty dobrze uzbrojonej, ale jak to już wyżej powiedziałem bez najmniejszej subordynacji i porządku. Z połączenia tych dwóch oddziałów jak i napływu rozbitków z różnych stron się ściągających, Chmielińskiego oddział wzrósł w siłę znowu. Liczył teraz przeszło 600 piechoty i 150 koni kawalerji.

Czwartego dnia naszego pobytu w Drochlinie, Chmielnicki odebrał wiadomość o ruchach Moskwy, ciągnącej na nas z dwóch stron z Piotrkowa i Kielc, ale wieści te były tak niejasne, tak niepewne, że zostaliśmy na miejscu i Chmieliński zajął się ćwiczeniem nowo wcielonej piechoty. Naraz wysłany podjazd wraca z wiadomością, że nieprzyjaciel o dwie wiorsty. Zwinęliśmy natychmiast obóz i uszliśmy do Małchowa, wioski oddalonej może o milę. Stanąwszy tam, zaraz ujrzeliśmy cwałujących kozaków i

pojawiającą się na furmankach moskiewską piechotę. *) Moskale ci byli z Piotrkowa.**)

Chmieliński kawalerji rozkazał udać się pod las znajdujący się z drugiej strony wsi, a sam na czele piechoty rozpoczął ogień tyralierski. Po półgodzinnej może strzelaninie, zobaczyliśmy nieprzyjaciela cofającego się, co nas zdziwiło niezmiernie. Trudno bowiem było przypuszczać, pomimo dobrej postawy i silnego ognia z naszej strony, że rejterada ta pochodzi z musu albo potrzeby. Chmielińskiego na ten raz opuściła zwykła ostrożność i spostrzegłszy cofanie się nieprzyjaciela i jego słaby ogień, krzyknął hura! i posunął się całą linią naprzód chcąc dokończyć zwycięztwa. Piechota nasza zachęcona powodzeniem, puściła się biegiem z pochylonym bagnetem — niestety! nie była to rzeczywista ucieczka ale podstęp, któren o mało, że się nie udał. Naraz bowiem z przeciwnej strony, to jest w tyle zobaczyliśmy chmurę nieprzyjaciół wychylających się z poza wzgórza. Zagrzmiała artylerja, sypiąc kartaczami i Chmieliński ujrzał się prawie otoczonym — pozostawała mu jedyna droga gdzie stała jego kawalerja, tam też skierował się i cofał biegiem odsrzeliwając się natarczywie ścigającemu go wro-

*) Autor niedokładnie pamięta okoliczności poprzedzające bitwę Małcbowską. Wymarsz z Drochlina nastąpił zaraz po rozstrzelaniu Iskry — bitwa zaś dopiero nazajutrz o świcie. W nocy nawet Chmieliński kazał zaalarmować obóz moskiewski.

**) Nie z Piotrkowa ale z Kielc.

gowi. Nadeszłą Moskwą dowodził Szulman, pułkownik, któren się zniósł z oddziałem Piotrkowskim i chciał jednym zamachem nas rozbić ze szczętem. To był właśnie powód ucieczki Piotrkowskiego oddziału i chęć odciągnięcia nas jak najdalej od lasu; parę minut jeszcze pogoni a bylibyśmy zgubieni. W trakcie cofania się Chmieliński posłał do nas swego adjutanta Ch****) z rokazem cofania sie, lecz biedaka niosącego powyższy rozkaz uderza granat i urywa mu nogę. Wprawdzie rozkaz ten był zbytecznym, gdyż sięgające nas kartacze nieprzyjacielskie i widok ogólnej ucieczki piechoty, dał nam powód do cofania się bez polecenia. Rejterując się powolnie widzieliśmy Chmielińskiego wchodzącego do lasku, a zatem na wpół bezpiecznego, pomimo ścigania Moskwy. Ruszyliśmy w przeciwną stronę sporym kłusem i po półgodzinnej jeździe zatrzymaliśmy się we wsi Kuczków. Byliśmy mocno skłopotani i niespokojni o los Chmielińskiego i naszych piechurów. Moskwa była tak przemożna, tak zażarcie nas ścigała, a piechota nasza tak była zmęczona, że mogli ją nieprzyjaciele łatwo dognać w lesie i rozbić — ale nie długo zakomunikowano nam wiadomość, że Chmieliński cały i zdrów stoi ze swymi ludźmi pod Włoszczową i tam kazał i nam podążać.

---

*) Ch*** o którym tu jest mowa, nie był adjutantem Chmielińskiego i on go nie posyłał wcale, ale rotmistrz jazdy Rzepecki, wysłał go z zapytaniem do dowódzcy, co ma robić z kawalerją. (przyp. wydawcy).

Po małem wytchnieniu, udaliśmy się manowcami, stosownie do polecenia i w Rogienicach na drugi dzień rano połączyliśmy się z całym oddziałem. Straty nasze w skutek ostatniej potyczki były mniejsze, jak myślałem. Dwudziestu było zabitych i tyluż rannych, a dwóch dostało się do niewoli — ale nieodżałowaną ponieśliśmy stratę w osobie Ch***, który swoją wesołością i zapałem, ożywiał w najsmutniejszych chwilach cały obóz. W parę lat potem spotkałem go w Warszawie, z przyprawioną w Paryżu nogą gutaperkową tak zręcznie i gruntownie, że kto nie wiedział, nie spostrzegł żadnej różnicy.

W Rogienicach doniesiono Chmielińskiemu, że Moskwa idzie naszym śladem, a również, że z Częstochowy wyprawiono nowy oddział dla ostatecznego rozbicia nas. Wyruszyliśmy przeto niezwłocznie do Oksy, a ztąd mając ciągle na karku nieprzyjaciela, stykającego się prawie z naszą tylną strażą, do Dzierzgowskiego młyna. Chmieliński widząc ostateczny upadek sił piechoty, zakradający się przy tem nieład, przeważne siły moskiewskie zewsząd nas otaczające i sam czując się chorym, postanowił użyć pierwotnego fortelu t. j. podzielić oddział na kilkanaście części i rozpuścić w różne strony — kawalerji zaś pod dowództwem Neumana rozkazał udać się w stronę Pinczowa i tam czekać dalszych rozporządzeń.

W niespełna godzinę po rozejściu się naszem, nadeszła Moskwa z dwóch stron, od Czę-

stochowy i od Kielc. Na zapytanie, gdzie powstańcy? pokazano im dziesięć dróg — dalsze przeto ściganie okazało się bezskutecznem, ile że to było w okolicy nadzwyczaj lesistej i pełnej trzęsawisk, gdzie posuwanie się z artylerją było wprost niepodobnem. Po krótkiej przeto naradzie wojennej, umyślili powrócić nazad i oczekiwać przyjaźniejszych okoliczności. Chmieliński zaś zachorował na dobre i ukrył się w okolicach Oksy czy Włoszczowy.

Było to w początkach września — powstanie pomimo gęstych oddziałów w różnych stronach kraju było coraz silniej gnębione, i gdyby nie nadzieje na interwencję zagraniczną, byłoby z pewnością najzupełniej upadło. Już nie szło o zwycięztwa, ale o trzymanie się, o egzystencję i przekonanie Europy, że naród polski domaga się należnych mu swobód i praw—i o takowe rozpiera się orężem. Najzapaleńsi, najwięcej zagorzali zwątpili we własne siły. Wytężano przeto wszelkie siły, wyczerpywano ostatnie środki w oczekiwaniu na obiecane wsparcie i pomoc, rachując na okoliczności i wspaniałomyślność Europy. Łatwowierność nasza jak zwykle była haniebnie zawiedzioną.

Na drugi dzień po rozdzieleniu się, kawalerja nasza otrzymała nowe mundury we wsi Motkowicach pod Pińczowem. Mundury te wysłane z Krakowa były nam już bardzo potrzebne, albowiem te, które nam dano przed dwoma miesiącami, w ciągłem szarzaniu się, rozleciały się prawie w strzępy. Były one zrobione z grubego

sukna, krojem chłopskich sukmanek, z kieszeniami, które nam służyły za kaptury w czasie niepogody.

Kilka dni włóczyliśmy się w okolicach Pińczowa i Stopnicy, nie mając nigdzie żadnej wiadomości o nieprzyjacielu. Piątego czy szóstego dnia wyruszyliśmy z Balic, siedliska niegdyś słynnego Bonara i udaliśmy się do wsi Stawy. Ledwie tutaj zasiedliśmy do obiadu, gdy na pikiecie pada strzał, a niedługo widzimy pędzącą kawalerję moskiewską. Cofnęliśmy się do lasu, znajdującego się nie daleko wsi. Pogoń ustała. W czasie tej ucieczki, dowódzca nasz Neuman, uległ wypadkowi, pistolet wypadając mu z za pasa wypalił i kula trafiła go w piętę. Zdał przeto komendę najstarszemu oficerowi Łąckiemu, a sam udał się do Krakowa leczyć się, i odtąd już go więcej nie widzieliśmy.

Nazajutrz przybył do nas z Krakowa Markowski z rozkazem Chmielińskiego poddania się jego komendzie. Był to człowiek lat 50, służył poprzednio w kozakach sułtańskich Czajkowskiego, zkąd umyślnie przybył do powstania. Żołnierz to niezaprzeczonej odwagi, ale niezmiernie słaby i pobłażliwy dla podwładnych, nie mógł być przeto dobrym komendantem i porządek zaprowadzony przez Chmielińskiego potrosze się rozprzęgał. Z Markowskim chodziliśmy dość długo, nie stoczywszy ani jednej utarczki, aż przybycie Bosaka na widownię wojny zmieniło nasze położenie.

IV.

Treść: Przybycie Bosaka — przegląd — atak na Oksę — bitwa — straty nasze i odwrót — nocleg w Kwilinie — napad i rozproszenie oddziału — Bosak pod Jeziorkiem — utarczka pod Strojnowem — rotmistrz Belardi.

Po kilkudniowych marszach i kontrmarszach z Markowskim, przybyliśmy do wsi Radkowa pomiędzy Włoszczową a Jędrzejowem, gdzie zebrana była nasza piechota i rozlokowana w pobliskim lesie. Roztasowaliśmy się na dobre — o nieprzyjacielu nigdzie nie było słychać i tak w dawno upragnionej spokojności przepędziliśmy dziesięć dni. Chmieliński przyszedł do zdrowia i zajął się energicznie mustrowaniem swego oddziału, który został znacznie powiększony wcieleniem oddziału sformowanego przez jakiegoś Grylińskiego — i nową remontą koni dla kawalerji. W końcu drugiego tygodnia odebraliśmy rozkaz wyruszenia do Dzierzgowa, gdzie naznaczony był punkt zborny ogólny, tak dla wszystkich pojedyńczych komend piechoty jak i dla kawalerji. Tutaj przybył do nas jenerał Bosak (Hauke) i zrobił przegląd całej tej małej armji. Czy był zadowolony lub nie

z obrotów wojskowych, czy widział możność dalszego działania i oparcia swoich nadziei na tej garstce niewyćwiczonej ruchawki? Bóg to jeden wiedział. Z twarzy jego zimnej i poważnej, po której kiedy niekiedy sardoniczny przelatywał uśmiech, nic wyczytać nie było można; ani pochwały ani nagany nie usłyszeliśmy. Chmieliński z woli Rządu Narodowego przechodził pod komendę Bosaka, jako naczelnego wodza sił zbrojnych województwa Krakowskiego i Sandomierskiego; pomimo to, pozostał on właściwym dowódzcą i rozkazy wszystkie były przez niego wydawane.

Bosak był to człowiek lat 35 może, dobrego wzrostu i ujmującej powierzchowności, znakomity jeździec. Po rewji, wydano do nas w imieniu wodza proklamację, zakrawającą ze stylu na proklamacje Napoleońskie — zaczynała się bowiem od słów: „Żołnierze z pod Ciernia, Warzyna, Czarncy i Małchowa etc.“ Miało to być zachętą dla młodego żołnierza i służyć na przyszłość jako środek zagrzewający gorącą wyobraźnię przypomnieniem, jeżeli nie zwycięztw odniesionych w cytowanych miejscowościach, to przynajmniej chwalebnie dokonanej rejterady. Osładzano sobie los i smutną w perspektywie przyszłość, jak można. Proklamacja ta wydrukowana w tysiącznych egzemplarzach, rozrzuconą została po kraju w celu obudzenia zapału i wlania nowej otuchy w upadłych na duchu i zrozpaczonych—i niejeden przeczytawszy takową odezwę gdzieś w Lubelskiem, na Li-

twie, lub w Warszawie, myślał istotnie, że zwycięztwa te miały miejsce i powstanie wchodzi w fazę tak gorąco oczekiwaną, w perjod pogromów i podboi. *) Oszukiwano się nie powiem czy logicznie, ale z szlachetnym celem i w dobrych zamiarach.

Na drugi dzień otrzymaliśmy wiadomość, że Moskwa zmierza ku nam i znajduje się w Oksy, w liczbie 3. rot piechoty i sotni kozaków. Po obliczeniu wszystkich naszych sił, okazało się, że posiadamy 900 ludzi piechoty i 200 koni kawalerji. Takiej siły Chmieliński jeszcze nie miał. Bosak zaprojektował nie czekać Moskwy, a zaatakować ją w jej własnem legowisku. **)

Projekt został przyjęty i stosowne wydano rozkazy, oraz poczyniono przygotowania. Pozostawiwszy w Dzierzgowie ogniska, dla utrzymania pozoru, że obóz tam istnieje, wyruszyliśmy w nocy około godziny 11. w jak największej cichości ku Oksy. Plan był tego rodzaju:

Ponieważ Moskwa wedle pewnych wiadomości, ulokowała się w podwórzu, otoczonym

---

*) Czy proklamacja ta w istocie była drukowaną, pozwalamy sobie wątpić. Chmieliński nie miał przy sobie drukarni — a samą odezwę czytał adjutant z rękopismu. Nie mogła więc rozejść się po kraju i ani na Litwie, ani w Lubelskiem, ani w Warszawie nie widziano jej wcale.

**) Musimy tu zrobić uwagę, że Moskale wówczas wyszli z Kielc pod wodzą majora Bentkowskiego nie w celu atakowania Chmielińskiego, ale w celu egzekucji zaległych podatków.

(przyp. wydawcy.)

dosyć wysokim murowanym parkanem i szczelnie zatarasowała bramę, z tyłu zaś były błota i trzęsawiska, na których nawet straży nie postawiła — przeto Chmieliński o drugiej po północy z głównym oddziałem uderzy na folwark od frontu, Gryliński zaś o kwadrans wcześniej, przeszedłszy błota zaatakuje z tyłu. Przedewszystkiem nakazana była, jak największa cisza i spokój. Kawalerja zaś miała stać w odwodzie i oczekiwać rezultatów i odpowiedniego rozkazu.

O drugiej w nocy przybyliśmy na oznaczone stanowisko. Chmieliński zaś na czele piechoty pomknął się pod sam folwark, kazawszy dwom kawalerzystom sobie towarzyszyć. Miałem to szczęście, że mnie wykomenderowano. Posunąwszy się tak blisko, że można było słyszeć co się dzieje na folwarku i nie spostrzegłszy żadnych pikiet moskiewskich, sądziliśmy, że nieprzyjaciela już nie ma. Cicho było jak w grobie. Dech w sobie tamując czekaliśmy tak pół godziny — godzinę — Gryliński wiadomości o sobie nie daje. Zaczynało już świtać i nakoniec placówki kozackie nas spostrzegły i dały ognia, a za chwilę usłyszeliśmy ruch i gwar w moskiewskim obozie. W takim stanie rzeczy, nic innego nie pozostawało, jak niedozwolić na opamiętanie się nieprzyjaciela i uderzyć na niego. Chmieliński wydał rozkaz i z ogólnem hura! piechota nasza poszła do ataku. Do obozu moskiewskiego nie było więcej jak dwieście kroków i za chwilę nasze zuchy, gdyż tak ich wówczas

można było nazwać, próbowali wysadzić bramę, nie zważając na straszliwy ogień, sypiący się na nich z za murów, dachów i drzew. Gdyby w tej chwili jeszcze był nadszedł Gryliński i stosownie do ułożonego planu, uczynił w tyle dywersją, kto wie czy najświetniejsze zwycięztwo nie byłoby owocem tego dnia. Zapał podniesiony do entuzjazmu ożywiał nasze szeregi; zdawałoby się, że tem jednem zwycięztwem Polska się wykupi z niewoli. Już brama trzeszczała pod naciskiem atakujących i Moskwa zmięszana niezwykłem męztwem zaczęła się cofać gdy kapitan Walery Nowicki dowodzący drugą kompanją, rąbiąc siekierą wrota, ugodzony został kulą w piersi. Nacierający zaczęli słabnąć, mięszać się i ustępować powoli do ogrodu, znajdującego się przed folwarkiem. Teraz dopiero nadciągnął Gryliński — usłyszeliśmy bowiem w tyle strzały i cała uwaga Moskwy została tam skierowaną, ale w kilka minut zapanowała cisza, przerywana kiedy niekiedy pojedyńczemi wystrzałami. Gryliński jak późno przyszedł, tak jeszcze prędzej cofnął się — i Moskwa cały ogień znowu zwróciła na nacierających, którzy wciąż stali w ogrodzie. Z tąd powoli zaczęto ustępować. O nowym więc ataku nie można już było myśleć. Piechota nasza aczkolwiek nie ścigana przez nieprzyjaciela, ustępowała coraz pospieszniej i w nieszczególnym porządku. Moskwa jednakże chociaż widziała rejteradę, tak była przestraszona, że z ogrodzenia swego nie ruszyła się na

krok, prażąc tylko ustępujących celnym i dobrze utrzymanym ogniem.

W trakcie najgorętszej bitwy pod bramą, Chmieliński dał mnie polecenie udać się do kapitana Tylmana, z rozkazem zajęcia stojącego nieopodal domku, z którego Moskwa strzałami swemi, zabójcze nam zadawała ciosy. Puściłem się co koń wyskoczy i rozkaz wygłosiłem Tylmanowi, stojącemu nie dalej, jak o kroków pięćdziesiąt od głównych wrot. We wszystkich bitwach całego powstania, w których miałem udział, nie obsypało mię tyle kul ile pod temi wrotami — i pomimo tego gradu i blizkości, Bóg mnie salwował szczęśliwie. Koń mój dostał postrzał w szyję i ogon— kula przeszyła mi czapkę dwa razy i mundur pod pachą, a ciało zostało nie naruszone.

Bitwa ta trwała od godziny pół do 4. do 12. w południe. Zdawałoby się to niepodobnem, armje tysiączne rozstrzygają los bitwy daleko prędzej, a cóż tu taka garstka mogła się tak długo bawić w tę krwawą zabawkę. Jednakże tak było i zdawało nam się, że to wszystko trwało nie dłużej jak godzinę, tak czas w silnem zajęciu prędko ubiega. Rannych i zabitych mieliśmy około stu ludzi. Moskwa oczywiście daleko mniej, dzięki ochronnemu i zakrytemu położeniu.

Powodem opóźnienia się Grylińskiego na wskazane mu stanowisko, było to, jak się tłómaczył, że pobłądził w lasach otaczających Oksę, lecz prawdopodobniej brak szczerej chęci, odwagi i ogólne niedołęztwo. Po bitwie pod Oksą,

Gryliński zaraz wyjechał i co się z nim zrobiło, nie wiem.

Bitwa pod Oksą była może w całem powstaniu jedyna (?), gdzie role się zmieniły. Atakowaliśmy nieprzyjaciela, zamiast jak to powszechnie bywało w powstaniu, oczekiwać napaści z jego strony. Odwaga piechoty, ktorej przypatrywałem się z blizka, była jak w powstańcach, wojsku niewprawnem i niewyćwiczonem, czemś niezwyczajnem, budzącem podziw nawet nieprzyjaciela — i gdyby plan napadu był dosłownie wykonany, zwycięztwo byłoby pewne. Dziwna rzecz, ci sami ludzie w innych bitwach nie mieli i połowy tego męztwa i bili się daleko gorzej. Pokazuje się, że być zaczepionym a zaczepiać samemu, jest wielka różnica — i zmiana ta, wpływa przeważnie na odwagę ludzką, czyni żołnierza śmielszym i pewniejszym siebie.

Z pod Oksy cofnęliśmy się o pół milki do Kwiliny, a Chmieliński zaufany, że Moskale nie odważą się iść w pogoń, kazał rozłożyć się obozem i gotować jeść. Ściemniało się, a ja jakby przeczuciem wiedziony, nie naśladując przykładu drugich, którzy swobodnie konie rozkiełzali, położyłem się obok szkapy, trzymając lejce w ręku. Nie było więcej, jak godzina ósma wieczorem, gdy pada strzał na pikiecie i jednocześnie z tem, słyszymy rotowy ogień piechoty moskiewskiej, która się podkradła pod sam obóz prawie. Zamięszanie powstało okropne, ścisk, hałas, jęki rannych a to wszystko pod silnym ogniem nieprzyjacielskim, słowem opłakany obraz.

Chmieliński na wpół ubrany, ledwie zdążył siąść na konia, a ja z pomiędzy tłumu uciekających, furgonów i biegających koni, długi czas nie mogłem się wydostać. Panującej jedynie ciemności zawdzięczamy, że nas nie rozbito do szczętu i połowy nie wzięto do niewoli. Gdyby Moskale przyszli byli dwiema godzinami później, zastaliby nas na dobre śpiących i noga nasza by nie wyszła. Taki był koniec świetnie rozpoczętego dzieła, pochodzący jedynie z nieostrożności i zbytku zaufania. Dowodzący moskiewskim oddziałem major Bentkowski, dowiedziawszy się, że odpoczywamy o pół mili i zgadując, że nie przypuszczamy nawet, aby on ośmielił się nas dziś jeszcze atakować, w cichości wyruszył na nas i oddał nam rewizytę. Udało mu się lepiej jak przewidywał. Zabrał wszystkie furgony, masę koni, amunicji i zapasów wojskowych, a co najważniejsza, że rozproszył zupełnie oddział, który już nigdy do przeszłej swej siły i liczby nie przyszedł.

Na drugi dzień rano, zaczęliśmy się ściągać do Radkowa z różnych stron i koncentracja ta trwała ośm dni, w ciągu których nie byliśmy niepokojeni, był więc czas do jakiego takiego zorganizowania się i ułożenia dalszego planu. Z powodu znacznego uszczuplenia w ostatnich potyczkach piechoty, pozostałym resztkom Chmieliński kazał się udać w lasy Śto-Krzyzkie, dokąd z kawalerją za parę dni sam miał podążyć. Czuliśmy, że okoliczności przybierają coraz niewygodniejsze rozmiary, że krąg naszego dzia-

łania co raz więcej się ścieśnia. Moskwa zawzięcie nas ścigała i nie pozwalała jak dawniej na tygodniowe odpoczynki i swobodne kompletowanie się, było co raz ciaśniej, a działo się to na schyłku września i zimna, szczególniej nocami, dotkliwie się nam dawały uczuwać.

Jenerał Bosak po bitwie pod Oksą, zaraz na drugi dzień odjechał do Krakowa, gdzie czekał na niego zupełnie usztyftowany oddział, składający się z 400 ludzi piechoty i 100 koni jazdy. Z oddziałem tym w kilka dni później przeszedł granicę, lecz pod Jeziorkiem około Opatowa został rozbity przez Czengierego, a niedobitki schroniły się w okoliczne lasy. Chmieliński więc powziął zamiar połączyć się z nimi, i w tym celu wysłał najprzód swoją piechotę pod wodzą Tylmana. Resztki zaś kawalerji Bosaka pod dowództwem Edelstejna, składające się z 30 ludzi, połączyły się z nami, a niedługo przybył i sam Bosak.

Wychodząc z Radkowa skierowaliśmy się do Sędziszewa, tu chwilkę odpocząwszy i mając ciągle Moskwę na karku, ruszyliśmy dalej przez Trzciniec, Nawarzyce i Motkowice. W Maleszowy zatrzymaliśmy się na popas, ale niebawem nadciągający nieprzyjaciel pchnął nas dalej ku lasom Święto-krzyzkim. Moskwa tak z blizka nas napierała, że już w lasach postępujące za nami furgony zabrała. Wychyliwszy się z lasu, ujrzeliśmy przed sobą pola należące do Strojnowa. Konie po dwudniowym nieustannym marszu były strasznie znużone. Chmieliński

więc kazał przystanąć w Strojnowie, atoli nie upłynęło i pół godziny, kiedy pada strzał na pikiecie. Porwaliśmy się do koni i zaledwie zdołaliśmy uformować się, gdy ujrzeliśmy posuwających się dragonów w bojowym szyku i mnóstwo kozaków. Byliśmy na czystem i równem polu, jakby umyślnie przygotowanem dla kawaleryjskiej walki.

Chmieliński uformował nas w dwa rzędy i sam z Bosakiem stojąc na czele, oczekiwał ataku. Ten wyciągnięty front i gotowość przyjęcia bitwy, zachwiała widocznie postanowieniem nieprzyjaciela. Nieraz miałem sposobność przekonać się, że każda nasza śmiała postawa czyniła Moskali niezdecydowanymi i mieli minę, jakby chcieli stchórzyć i drapnąć. Taki wypadek obecnie miał miejsce. Staliśmy tak blizko siebie, że rozróżnić można było twarze wzajemnie, a ani jedna, ani druga strona nie gotowała się do stanowczego kroku. Pojedyńczo tylko tu i tam wyjeżdżano na harce i strzelano do siebie z karabinów i pistoletów, próbowałem i ja cztery razy swego rewolweru, zdaje się atoli, że bez skutku. Bosak znowu nie wyjąwszy nawet szabli, podskoczył do zbliżającego się dragona i ciął go w twarz pejczem. Mógł był jednakże drogo przypłacić swoją brawurę, dragon spiął konia i najechawszy go z szablą w garści, zamierzył się już do zadania ciosu, gdy strzał pistoletowy stojącego opodal kawalerzysty zwalił go z konia. Pojedyńcze te harce ciągnęły się z pół godziny, gdy naraz widzimy dragonów rozstępujących się

w lewo i prawo, i strzał armatni jeden, drugi, trzeci, pada w środek naszego odsłoniętego frontu, robiąc straszliwe spustoszenia. Była to polowa artylerja kozacka, która nadbiegła na pole bitwy. To zmięszało nasze szyki odrazu, co widząc Bosak, jak również przypuszczających na dobre atak dragonów, i nauczony smutnem doświadczeniem pod Jeziorkiem, gdzie omal żywcem nie wpadł w ręce moskiewskie, zwrócił konia i puścił się pędem ku widniejącemu w dali lasowi. Powtórzyła się scena z pod Czarncy. Tych co mieli słabsze konie i zostawali w tyle, dojeżdżano i rąbano bez litości, a artylerja pędząca cwałem, od czasu do czasu puszczała swoje kule. Do lasu było dobre cztery wiorsty. Dojeżdżając już do takowego, uczułem pchnięcie, które ześliznęło się po mojej sukmanie i tuż nad sobą kozaka. Odwinąłem się i ciąłem go na odlew przez twarz, potoczył się z konia zbroczony krwią. Dojeżdżaliśmy do lasu, Moskale zaczęli zwalniać w pogoni już na parę staj wprzódy i w końcu zupełnie stanęli. W lesie zwolniliśmy w biegu i manowcami doszliśmy do miasteczka Kunowa, strudzeni, zbici, głodni i zupełnie upadli na duchu. Tutaj dowiedzieliśmy się, że Moskale nie cofnęli się, lecz stoją o parę wiorst od nas.

Pamiętam w czasie ucieczki zabawną scenę. Rotmistrz nasz Belardi, z nieodstępną fajeczką w rękach, galopował na swej szkapie z taką zimną krwią, jak gdyby ta gonitwa była popisem wyścigowym a nie groźnym pościgiem. Ko-

zak dojeżdżając go z tyłu, krzyczał: „nie ujdiosz Lach sobaka!“ — „ujdu!“ — odpowiedział Belardi i smagnął szkapę batem. — „Niet, nie ujdiosz Lach!“ — „ujdu!“ — i tak sobie rozmawiając w przyzwoitej odległości, bo na długość piki kozackiej, poczciwy nasz Niemiec, któremu nawet fajka nie zgasła w tej krytycznej chwili, miarowym galopkiem uszedł przed kozakiem. Przed lasem, gdy już pogoń ustawała, odwrócił się do kozaka i wyszczerzając zęby, krzyknął: — A szczo, mówił tobie ruska świnia, że będzie ucieknąć glupia kozak, chodź teraz, ubić na rotmistrz Belardi!

Wezwaniu temu widocznie kozak nie uważał za stosowne odpowiedzieć, zostawiając Belardiego panem pola bitwy i przekonania, że dobrze, z zimną krwią uciekać nie każdy potrafi.

V.

Treść: Obóz w Kunowie i Jeleniowie — bitwa pod Ociesękami — nasze straty — marsze — nowa utarczka pod Strojnowem — mój urlop — starcie pod Bodzechowem — osłabienie powstania — śmierć Chmielińskiego w Radomiu.

W Kunowie założyliśmy obóz. Po obrachunku okazało się, że w rozprawie strojnowskiej straciliśmy 20 ludzi w zabitych i rannych. Staliśmy tu dwa dni, a Chmieliński dowiedział się, że jego piechota, wraz z rozbitkami Bosaka z pod Jeziorka stoi pod Ociesękami w lasach Sto Krzyzkich i liczy ogółem 400 ludzi. Tutaj przybył do nas Rudowski z maleńkim swoim oddziałem, lecz został napowrót wyprawiony w Suchedniowskie lasy, z poleceniem szerzenia powstania w gubernii Radomskiej, gdzie wszystkie oddziały były już rozbite i panowało ogólne zniechęcenie.

Wysłany z Kunowa podjazd dla zebrania wiadomości, wpadł wypadkiem na trzech żandarmów i sześciu kozaków jadących z Opatowa. Podjazd nasz liczył 20 ludzi i po krótkiej utarczce wszystkich zabrał do niewoli i z wielkim tryumfem

przyprowadził do obozu. Pierwszy to raz zdarzyło nam się dostać niewolnika i gdy obmyślano co z nim uczynić, dano znać, że Moskwa zbliża się ku nam. Wyruszyliśmy przeto do Piórkowa, a ztąd do Jeleniowa. Tutaj byliśmy świadkami wesela jednej z córek dziedziczki tego majątku, wychodzącej za kapitana naszej piechoty, jakiegoś Węgra, który jak się później okazało, był już żonatym i w Krakowie, dokąd pojechał leczyć się z rany, zjechała go pielęgnować pierwsza jego żona. Ślub był wesoły i niewesoły, gdyż zaledwie zaczęliśmy się trącać kieliszkami, pijąc za pomyślność państwa młodych, dano znać że Moskwa tuż. Wyruszyliśmy więc do Ociesęk chcąc się połączyć z piechotą, dokąd przybyliśmy nad wieczorem. Noc przepędziliśmy spokojnie, aliści nad ranem wpada pikieta, z wiadomością, że Moskwa o parę wiorst i zmierza wprost do lasu, w którym rozłożyliśmy się obozem.

Chmieliński z Bosakiem z uwagi na znakomitą pozycją i zupełną nieświadomość nieprzyjaciela o naszych siłach, postanowili nie ustępować ale zajść mu drogę. W tym więc celu ustawiono piechotę na skraju lasu, z rozkazem przypuszczenia nieprzyjaciela na jak najbliższą odległość — kawalerją wysłano na czyste pole, a mnie z plutonem, którym od bitwy pod Strojnowem dowodziłem jako oficer, kazano stać w pewnem miejscu pod lasem i oczekiwać dalszych rozkazów, nie ruszając się ztąd pod żadnym pozorem, choćby nas miano wystrzelać co do nogi.

Tak mi zapowiedział Chmieliński osobiście. Nie pojmując celu i nie przesądzając ważności onego, stanąłem na wskazanem miejscu. W dziesięć minut może potem usłyszałem rotowy ogień. Domyślałem się, że nasza piechota przywitała nieprzyjaciela. Tak w istocie było — przypuściwszy moskiewską piechotę i artylerję postępującą prawie razem na 200 kroków, dano ognia. Z początku zmięszali się, ale wnet opamiętawszy się, ruszyli naprzód. Piechota nasza zasłonięta drzewami, pomimo zliżenia się wroga, nie ustępowała na krok, sypiąc rzęsisty ogień. Nie długo rozpoczęła się walka na bagnety — walka ta trwała ze dwie godziny, przerywana od czasu do czasu wystrzałami artylerji, znajdującej się także w lesie — i już Moskwa zaczęła się mięszać, artylerja zmykać, gdy ogólnie dowodzący piechotą kapitan Tylman ginie. Chmieliński widzi to, zsiada z konia, porywa jego bagnet i chce prowadzić do nowego ataku wachającego się żołnierza. Ale Moskale, liczący około 1000 ludzi opamiętali się, poprawili i uderzyli na naszych, którzy poczęli się chwiać, ustępować i niedługo zobaczyłem piechotę naszą wychylającą się z lasu w stronę mej placówki — spostrzegam i samego Chmielińskiego pieszo zdążającego w tymże samym kierunku. Moskwa postępowała krok w krok za naszymi a zobaczywszy moją kawalerją, cały swój ogień skierowała na nas. To ocaliło Chmielińskiego a mój pluton zniszczyło prawie zupełnie. Nie usłyszawszy żadnego rozkazu, od przechodzącego obok mnie

Chmielińskiego, nie odważyłem się ruszyć z miejsca, a wychylająca się z lasu piechota moskiewska nie dalej jak na 150 kroków brała nas na cel jak kaczki. Co chwila ktoś z mych kawalerzystów jęknął i potoczył się z konia — koń mój był ranny dwa razy, kula przeszyła mi sukmanę przez całe plecy — pół cala dalej a prześwidrowałaby mnie na wylot, dwie uderzyło w żelazną pochwę szabli i pogięło ją tak, żem potem nie mógł klingi wsadzić. Widząc że takie stanie na miejscu i oczekiwanie rozkazów byłoby szaleństwem, gdyż Moskwa nas prawie okrążała, ruszyłem za innymi. Z całego plutonu liczącego 30 ludzi, zostało mi sześciu zdrowych, a gdyby lepiej strzelali, powinniby z takiej odległości wybić nas trzy razy, dziesięć razy tyle. Przyznać tu muszę, że ludzie stojący ze mną na owem stanowisku, byli prawdziwie odważni, żaden z nich nie cofnął się, nawet nie odwrócił się w przeciwną stronę. Później dopiero dowiedziałem się, że Chmieliński stawiając mnie tu, był tak zaufany w rozbicie Moskwy, że mogąca uciekać tędy artylerja, powinna była natkąć się na nas i być zabraną. Dałem znak do odwrotu i cwałem puściłem się za całym oddziałem, zdążającym do Strojnowa. Dopadłszy Chmielińskiego podałem mu konia po jednym z zabitych żołnierzy, był tak zmęczony, że ledwie wlókł się, Moskwa postępowała za nim ciągle i nie dalej jak o 400 do 500 kroków rażąc nas piekielnie — nasza piechota odpowiadała coraz rzadziej, uciekając biedaki nie mieli czasu do nabijania. Bo-

sak zaś na czele kawalerji postępował znacznie na przodzie, ogień go nie sięgał i choć wypuszczono za nim parę granatów, te nie zrobiły mu żadnej szkody. Weszliśmy do lasu i niedługo zupełnie w nim ukryliśmy się, a wkrótce też i ogień moskiewski ustał. Poprzestali pogoni, bojąc się nowej zasadzki.

Bitwa pod Ociesękami, była może najkrwawszą i najupartszą w całem powstaniu. Moskale przyznawali się w swych urzędowych raportach do 100 zabitych i rannych, i mówili, że była już taka chwila, że Czengiery kazał się cofać a podkomendni oficerowie kazali bębnić na odwrót. Pierwszy to był wypadek, że kłuto się bagnetami, o każdy krok, o każdą piędź ziemi, bito się zawzięcie. Była to ostatnia bitwa Chmielińskiego z piechotą, która tu wyginęła po większej części lub dostała się do niewoli i zaledwie 100 ludzi zebrało się wszystkiego po przybyciu do Strojnowa. Garstka ta pod wodzą jakiegoś Bogdana, odesłaną została do Rudowskiego i o losie jej już więcej nie słyszałem.

Młody małżonek, za którego zdrowie i pomyślność na jego weselu piliśmy, został raniony w nogę i nie miał nawet przyjemności nacieszyć się miodowym miesiącem. W ogóle w rannych i zabitych mieliśmy 150 ludzi, a ze 100 dostało się do niewoli. Reszta się rozpierzchła.

Dotychczas rzadko kiedy odważała się Moskwa atakować nas w lasach, zwykle starała się nas przedewszystkiem wyparować na pole i tam dopiero rozbijać. Las więc uważaliśmy dotych-

czas za pewną i bezpieczną przystań. Ociesęki przekonały nas, że nie możemy tak bardzo ufać w nasze nieufortyfikowane fortece, że i tam nas znajdą. To samo widać myślał i Chmieliński, bo nie starał się już o zorganizowanie nowej piechoty, nie marzył nawet o tem, nie śnił o zwycięztwie nauczony praktyką, dał zupełnie za wygranę i z garstką kawalerji przenosił się z miejsca na miejsce, oczekując ostatecznego rezultatu i jakiegoś z czasem rozwiązania, które przecież w końcu musiało nastąpić. Jako człowiek honoru, poprostu dla honoru, postanowił wytrwać do końca na raz obranem stanowisku, chociaż mógł bardzo łatwo pójść za przykładem Langiewicza, Taczanowskiego i tylu innych dowódzców, odpoczywających spokojnie na niezdobytych laurach, — i wytrwał.

Bosak z pod Strojnowa odjechał i już go więcej w szeregach nie widziałem. Po wielolicznych marszach i kontrmarszach w okolicach Św. Krzyża, Pińczowa i Włoszczowy, będąc już bezustannie ścigani przez dragonów, kozaków i ułanów, przybyliśmy w parę tygodni po ostatniej bitwie znowu pod Strojnów*). Tutaj mieliśmy nocleg i na drugi dzień rano, ja w towarzystwie jednego kolegi, udaliśmy się do pobli-

*) Autorowi pamięć nie dopisała. Druga utarczka pod Strojnowem miała miejsce przed bitwą pod Ociesękami i nie Chmieliński tu dowodził, ale rotmistrz Rzepecki.

(Przyp. wydawcy).

zkiej wioski, z prośbą o przysłanie nam owsa. Jadąc zamyśleni aleją wysadzoną drzewami, dostaliśmy się do wsi — naraz przy karczmie widzimy trzy kozackie konie, a nie długo i wybiegających kozaków. Jeden z nich ujrzawszy nas wypalił z rusznicy. Naturalnie co koń wyskoczy zawróciliśmy napowrót do obozu, gdzie alarm ten już doszedł i nim zdołano pokulbaczyć konie, jednocześnie z nami dojeżdżali dragoni. Paniczny powstał przestrach. Pierwszy raz Chmielińskiemu nie udało się zebrać swej gromadki w jaki taki szyk i porządek — zaczęła się bezładna ucieczka w różne strony. Co do mnie, z kilkunastu towarzyszami, mając za sobą dragonów, wpadliśmy na jakąś wązką drożynę, gdzie zmykać można było tylko gęsiego. W tej pozycji dojeżdżający nas dragon, zrzucił z koni trzech ostatnich. W tym szalonym pędzie nie wiem ile ubiegliśmy, prawdopodobnie z półtorej mili. Pogoń nareszcie ustała. Odetchnęliśmy, zobaczyliśmy przed sobą miasteczko Łagów, w którem odpocząwszy chwilkę i nie wiedząc co się dzieje z Chmielińskim i resztą oddziału, oraz nie czując się dosyć bezpiecznymi, puściliśmy się dalej i po kilkogodzinnym marszu dowiedzieliśmy się pod wieczór, że Chmieliński stoi w Piórkowie, o małą milkę od nas. Wyruszyliśmy tam bezzwłocznie i zastaliśmy go na czele 100 ludzi — niedobitki ściągały się z różnych stron, ale w najopłakańszym stanie, konie zmarnowane, ludzie zniechęceni i w dodatku Moskwę postępującą naszemi śladami. Jak świt wyruszyliśmy ma-

nowcami, trzymajac się lasów, w stronę Włoszczowy, dokąd nie zaczepieni nigdzie, przybyliśmy trzeciego dnia. Zdawało nam się, że będziemy mogli odpocząć trochę, skompletować się, odżywić konie, ale w parę dni dano nam znać, że Moskwa ciągnie z trzech stron. Tak było już wszystko upadłe na duchu, nie wyłączając i Chmielińskiego, że nie myślano o zasadzkach, o przyjmowaniu bitwy, ale o tem jakby można dobrze się ukryć lub uciec. Było to już jakoś w końcu października, lawirowaliśmy to tu, to ówdzie, szczęśliwie się wymykając i powiększając oddział ściągającymi się niedobitkami. Tym sposobem doszliśmy znowu do 300 ludzi samej kawalerji i naciśnięci w okolicach Włoszczowy, przerzuciliśmy się na drugą stronę Kielc, w lasy Śto-Krzyzkie. W przechodzie przez Mierzwin, Chmieliński zabrał ze sobą jedynego syna dziedziczki tej wsi. Matka jakby przeczuwając, błagała Chmielińskiego, żeby jej syna nie zabierał; pozostał głuchy i chłopiec ten w parę dni później, w bitwie pod Bodzechowem zginął rzeczywiście.

W Mierzwinie zachorowałem; byłem tak osłabiony, żem na koniu nie mógł się utrzymać, ból krzyża i głowy miałem szalony. Zameldowałem o tem Chmielińskiemu, prosząc go aby mnie nie miał w podejrzeniu o udawanie, że przez ciąg dziesięciomiesięczny tułania się w powstaniu, pierwszy raz proszę o uwolnienie nie z braku chęci do dalszej służby, ale po prostu z fizycznej niemożebności, zapewniając

go przytem, że po wyzdrowieniu mojem niezwłocznie się stawię do oddziału. Chmieliński, widząc mój stan, udzielił mi urlop na piśmie, opatrzony jego podpisem i pieczęcią — i na drugi dzień rano konno i w uzbrojeniu opuściłem obóz. Przepytując się o bezpieczniejsze miejsca, dobiłem się do pewnej wioski, gdzie uczułem, że mię siły zupełnie opuszczają. Ulokowałem się więc u miejscowego szlachcica, gdzie przeleżałem cały tydzień w strasznej gorączce i tylko staranemu pielęgnowaniu mnie przez poczciwe gospodarstwo, zawdzięczam dość szybkie wyzdrowienie.

Nie przypuszczałem nigdy, wyjeżdżając z obozu w Mierzwinie, że to było ostatnie moje widzenie się z Chmielińskim, pod którego rozkazami tyle czasu się przesłużyło, tyle kolei i wypadków się przeszło — nie przypuszczałem, powtarzam jeszcze raz, że go już więcej nie zobaczę. W parę godzin bowiem po moim wyjeździe, dano znać o nadciągającej Moskwie — wyruszył przeto niezwłocznie pod Śty-Krzyż, a ztąd w Opatowskie. Pomimo szalonych marszów, został dognany pod Bodzechowem i Moskwa tak natarczywie uderzyła, że nim Chmieliński zdążył uformować jaki taki porządek, już dragoni wrąbali się w środek oddziału — i zaczęła się ogólna, bezładna ucieczka. W czasie takowej Chmieliński dostał postrzał w rękę i w szalonym pędzie tak pierzchający jak i goniący wpadli na jakiś olbrzymi rów, którego wielu na gorszych koniach nie mogło przeskoczyć; wpa-

dali przeto w niego, druzgocząc się z końmi. Chmieliński uległ temu samemu losowi; koń jego był dzielny, ale w przeskoku zwinął się i upadł razem z innymi. Zerwał się jednak i jeździec i koń. Chmieliński chciał siąść, ale rana w ręce nie dozwalała na szybkie dokonanie tego, i nadbiegający dragon ciął go szablą przez głowę i zamierzał swój raz poprawić, gdy Chmieliński zawołał: Nie rubi — ja Chmieliński! — i upadł zalany krwią.

Ze złapaniem Chmielińskiego Moskwa poprzestała pogoni. Była to dla niej ważniejsza zdobycz, jak rozbicie i wycięcie całego oddziału. W istocie z pochwyceniem jego, powstanie w Krakowskiem traciło najważniejszą i jedyną podporę; imię jego było jakby magnesem pociągającym, do którego się wszystko ściągało, rozbitki z różnych stron kraju i upadli na duchu. Tylokrotnie rozbijany, nigdy ostatecznie nie mógł być rozproszonym i zdawało się, że jakaś tajemnicza siła wzięła go w swoją opiekę i nie pozwalała na jego zgubę. Wiara w jego męztwo, energję i zdolność, była do ostatniej chwili wielka i ta to wiara w połączeniu z surową karnością, czyniła go silnym i dozwalała mu tak długo trzymać się. Moskwa z upadkiem jego mogła rzeczywiście cieszyć się ogólnem pokonaniem powstania, a rozproszenie i pochwycenie resztek tułających się tu i owdzie, było tylko kwestją czasu i zabawką myśliwską, w rodzaju polowania na grubego zwierza. Tak się zdawało nieprzyjacielowi, tak się i nam zdawało, acz-

kolwiek taki sam rezultat smutny byłby właściwie i przy Chmielińskim nas spotkał, czego wreszcie pod koniec jego rządów już doznawaliśmy. Powstanie w innych częściach kraju, silnie i energicznie naciskane, i nieposiadające tak dogodnych warunków jak w Krakowskiem, było zupełnie stłumione i gdzieniegdzie tylko, garstki tak nazwanej żandarmerji narodowej, która, mówiąc nawiasem, więcej przynosiła szkody jak pożytku, tułały się tępione bez miłosierdzia, a w końcu nawet łapane przez chłopstwo. Jedynie tylko w Lubelskiem i garstka naszych w Krakowskiem, pozostała wolna dotąd od zupełnego zniszczenia. Tutaj też zwrócone były wszelkie usiłowania i nacisk Moskwy. Garstka kawalerji, pod dowództwem Markowskiego i Bogusza, powstała z oddziału rozbitego pod Bodzechowem, ścigana była zawzięcie; dzięki tylko przychylności mieszkańców i dobremu usposobieniu włościan, zawdzięczały te oddziałki swoją chwilową egzystencję. Było to konanie, tem opłakańsze, że tak długo się jeszcze ciągnęło.

Chmieliński wzięty do niewoli, na wpół umierający, odwieziony był do Radomia i tam z wyroku sądu wojennego rozstrzelany. Sit transit gloria mundi! Postępowaniem swojem, energją, szlachetnem poświęceniem się dla sprawy bez nadziei — i wytrwałością, zasłużył sobie na szacunek i zaszczytne wspomnienie w dziejach ostatniego powstania — i aczkolwiek działania jego, zawarte w granicach zbyt ma-

łych i nieznacznych, nie były tryumfami pełnymi chwały, to przecież idea przodująca jego czynom, powinna go postawić w rzędzie bohaterów narodowej sprawy, dla których każdy Polak powinien mieć cześć i obowiązek przekazania potomności ich czynów i postępowania.

Koniec księgi drugiej.

Bosak i Krzywda.

I.

Treść: Skowroński pod Wolą Cyrusową — bitwa i straty obustronne — moje wyzdrowienie — poszukiwanie oddziału — wypadek w Węgleszynie podróż do Warszawy i pobyt tam — powrót — Rząd Narodowy — moje postanowienie.

Równocześnie prawie z rozbiciem oddziału Chmielińskiego pod Bodzechowem, pobity został i rozproszony ostatecznie oddział Skowrońskiego w powiecie Rawskim, pomiędzy Łowiczem a Brzezinami, pod Wolą Cyrusową. Oto są szczegóły tej bitwy, zaczerpnięte od naocznych świadków:

Skowroński z oddziałem, tak nazwanym, Rawsko - Łęczyckim (życia Skowrońskiego nie znam bliżej), składającym się z 1600 piechoty i 200 koni kawalerji, stał obozowiskiem we wsi Wola Cyrusowa — a drugi oddział, niejakiego Szumlańskiego, byłego oficera wojsk pruskich, i Magnuskiego, składający się z 200 ludzi piechoty i 100 jazdy, stał opodal, o 4 wiorsty we wsi Sierznia — nakoniec trzeci oddział kawaleryjski, liczący 100 koni pod komendą Sokołowskiego, o parę wiorst we wsi Skoszewy. Je-

den z obywateli okolicznych, wysłany do pobliskiego miasteczka Strykowa za kupnem żywności, natknął się na patrol kozacki oddziału pułkownika moskiewskiego z Łęczycy, Hagenmajstra, liczącego w tej wyprawie trzy kompanje piechoty, szwadron huzarów i 30 kozaków, oprócz tego miał 4 działa. Obywatel ów wraca tedy do Sierznia i komunikuje tę wiadomość Szumlańskiemu. Staje przeto w jednej chwili plan tego rodzaju:

Wysłać podjazd dla umyślnego zaczepienia Moskali, pokazać się im, rejterować ku głównemu oddziałowi Skowrońskiego do Woli Cyrusowej i tym sposobem naprowadzić nieprzyjaciela na ukrytą w lesie główną siłę piechoty. Z uwagi na niewielkie siły moskiewskie, zupełną ich nieświadomość co do oddziału Skowrońskiego, plan ten w istocie był bardzo dobry i mógł być uwieńczony najpomyślniejszym rezultatem, gdyby, niestety! nie zbyteczna zarozumiałość i nieudolność naszych dowódzców, niechcących nigdy działać wspólnie, choćby jaknajwiększe korzyści mogło to przynieść, stanęła temu na przeszkodzie. Jak utrzymują świadkowie, Skowroński był pijany, gdy mu zakomunikowano powyższy plan, z prośbą, aby obsadził las, przez który Moskwa powinna była przechodzić za cofającym się Szumlańskim. Otóż Skowroński odrzekł, że wcale nie myśli tego wykonać i będzie oczekiwał na Moskwę w stanowisku przez siebie obranem, to jest w Woli Cyrusowej. Odpowiedzi tej wysłany przez Skowrońskiego oficer nie miał

czasu zanieść Szumlańskiemu, który już zaczął bitwę, cofając się wedle planu, ścigany przez Moskali zażarcie. Nieprzyjaciel atoli, zobaczywszy we wsi gęste kolumny powstańców, stanął na skraju lasu, pod samą Wolą Cyrusową, i rozpoczął ogień działowy, obsypując kartaczami cały powstańczy obóz i robiąc straszne szkody w szeregach. Skowroński, celem wyrzucenia Moskali z tej pozycji, posłał kosynierów pod dowództwem Francuza Finier, lecz biedacy ci nie uszli i połowy drogi, gdy zostali skartaczowani i padli ofiarą nierozumnego rozkazu. Po trzech godzinach rzęsistego ognia. Moskale, nie czując się na siłach do stanowczego zaatakowania powstańców i wyrzucenia ich ze wsi, cofnęli się napowrót do Nieszułkowa, a ztąd do Brzezin. Skowroński więc utrzymał plac boju. W rozprawie tej było zabitych i rannych z naszej strony około 80 ludzi. Moskali przynieśli do Brzezin 46 rannych i kilkunastu zabitych.

W Brzezinach Hagenmajstrowi nadszedł sukurs z Łodzi w piechocie i kawalerji, i drugiego dnia, mając 5 kompanji piechoty, dwa szwadrony huzarów i 100 kozaków, ruszył do Woli Cyrusowej, gdzie zastał Skowrońskiego, najspokojniej obozującego. Przypuściwszy odrazu silny atak, nieprzyjaciel nie dozwolił sformować się naszym; rozpoczęła się rejterada, a w końcu zupełna ucieczka, i pod wsią Lipcami, około Byćwi, zostali zupełnie rozproszeni. Moskale zabrali moc niewolnika, broni, amunicji, furgonów — kawalerja tylko w części ocalała i pod

wodzą Sokołowskiego przerznęła się w Rawskie, a następnie w Czerskie, gdzie w miesiąc później równemuż uległa losowi, zdaje się, koło Mogielnicy czy Czerską. Oddział Skowrońskiego był ostatnim oddziałem piechoty powstańczej w Rawsko-Łęczyckiem — dowódzca sam wpadł jak kamień w wodę.

Dziewiątego czy dziesiątego dnia byłem już tak dobrze, że mogłem wsiąść na konia — lecz co z sobą zrobić? O rozbitkach naszych wiadomości nie miałem, i jak wieści niosły, znajdowały się gdzieś za Włoszczową, o kilkanaście mil odemnie. W miejscu pozostać nie mogłem, lada chwila bowiem Moskale mogli mnie odkryć i pochwycić; rewizje po domach, mianowicie obywatelskich, były obecnie na porządku dziennym i każde indywiduum, z charakterem niejasno określonym, było aresztowane. Szlachcic przeto, aczkolwiek mi tego nie dał uczuć, widziałem, jak byłby rad, gdybym go uwolnił od mojej osoby i ciągłego strachu. Zdecydowałem się nakoniec wyjechać konno i w uzbrojeniu, celem odszukania mych towarzyszów i prowadzenia dalej tego burzliwego żywota. Było to prawie szaleństwem, w owe czasy puszczać się w drogę jednemu uzbrojonemu człowiekowi, gdzie co kilka wiorst można było napotkać drobne komendy moskiewskie. Pan Bóg widać mnie chronił i kierował moje kroki, tak że przejechałem kilkanaście mil, nigdzie się nie natknąwszy na nieprzyjaciela. Całe moje szczęście, że kręcąc się od kilku miesięcy w tych stronach, zna-

łem wybornie drogi i najmniejsze ścieżki, tak że w ciągu tej mojej trzydniowej donkiszotowskiej peregrynacji, jeden raz tylko wpadłem na Moskali pod Kanicami, lecz kozacy tak byli zajęci obrabianiem jakiegoś przejezdnego, sypiąc mu potężne batogi, że pomimo odległości nie większej jak 300 kroków, nie spostrzegli mnie. Zawróciłem konia z powrotem i krzakami, już nad wieczorem, zbliżyłem się pod Węgleszyn. Na drodze spotkałem parobków z końmi, którzy mnie objaśnili, że nie dalej jak przed godziną Moskale wyszli z Węgleszyna. Pół godziny przeto wcześniej, a byłbym im wlazł w ręce.

Przyjechałem do dworu, a miejscowy rządca, widząc mnie jednego, zdumiał się; od niego dowiedziałem się, że cała okolica jest napełniona nieprzyjacielem, zajętym ściganiem pojawiających się tu powstańców. Dalsza przeto moja podróż jest literalnie niemożebna. Ukrył więc mego konia, broń, ubrał mnie w jakąś starą odzież i zatrzymał na noc. W istocie tak byłem zmęczony trzydniową drogą, noclegami po lasach i ciągłą obawą o swój los, żem opadał ze sił. Nakarmiony należycie i w części spokojniejszy, zaprowadzony zostałem przez gospodarza na spoczynek do starego, niezamieszkałego dworu, gdzie wkrótce jak nieżywy usnąłem. Nad ranem słyszę naraz gwałtowny hałas i dobijanie się; zrywam się i dowiaduję, że Moskale otoczyli całą wieś i robią rewizję.

— No — pomyślałem sobie — poleć się Bogu i wleź w konopie; dziś będziesz miał to

szczęście, zapoznać się z kozackiemi batogami.

Spróbowałem jednakże ukryć się; wybiłem okno i skoczyłem do ogrodu. Tutaj pod krzakiem porzeczek usiadłem w kuczki, oczekując, co dalej będzie. Traf mieć chce, że tuż obok mnie stawiają pieszego szyldwacha; można sobie wyobrazić przykładną cichość, jaką zachowywałem. Byłem jak wykuty z kamienia. Najmniejszy ruch, głośniejszy oddech, mógł stojący o trzy kroki żołnierz usłyszeć i wyciągnąć mnie z tej kryjówki. Przypominam sobie, że siedząc tak nieporuszony, przychodzi mi na myśl: a gdybym tak teraz kichnął! i nie wiem, czy imaginacja, czy rzeczywiście nerw nosowo-kichający był rozirytowany, dosyć że mi poczęło w nosie świdrować, łechtać w nozdrzach i o mało żem nie kichnął. Pochwyciłem nos silnie w garść, chcąc powstrzymać te niewczesne objawy, i w takiej klauzuli trzymałem zdrajcę do końca — w razie większego buntu, byłem prawie zdecydowany urwać go! Tak mnie wytrzymali dobrą godzinę, w ciągu której słyszałem hałas, rwetes i pomięszane głosy w starym dworze: nareszcie dobiegł mych uszów odgłos świstawki i cerber mój ruszył się, a za chwilę znikł mi z oczów. Cóż z tego? ale może nadejść drugi, nic bowiem nie wiem, co się dalej dzieje. Po kwadransie tej niepewności, doleciał mnie jakiś gwar polski, szukali mnie — i pokazuje się, że to była niezła kryjówka, gdyż przechodzili koło tego krzaku i nie spostrzegli mnie wcale. Jęknąłem i przewróciłem się na ziemię, nie czułem nóg pod

sobą, tak mi pocierpły. Wyciągnięto nareszcie rycerza z tej fortecy, a zabawna moja mina i opowiadanie o buntowniczym nosie, pobudziła wszystkich do ogólnego śmiechu.

Przebyłem tu cały dzień namyślając się co dalej czynić, punktu wyjścia żadnego nie było, a ostatecznie trzeba było coś postanowić. Wszystko co mi przychodziło na myśl, było złe i nie do wykonania. Już wpadałem w pewien rodzaj apatji, zdając się na przeznaczenie, gdy odbieram wiadomość, że oddział Bogusza stoi o kilka wiorst, ubieram się w mój mundur, siadam na konia i bez namysłu udaję się we wskazanym mi kierunku. Ale widocznie los mnie prześladował, przybywszy dowiaduję się od gajowego, że przed godziną wyszli, ale gdzie? nie wie, zawiadamia mię tylko, że kozacy niedaleko. Nie było co namyślać się, ruszyłem lasem gdzie oczy poniosą i po dwugodzinnej podróży wyjechałem pod Oksę, a zasięgnąwszy języka od przechodzącej baby, że Moskali nie ma, puściłem się do dworu. Tutaj również wywołałem zdziwienie i poradzono mi niepróbować dalej szczęścia, schowano mi broń, konia, dostałem cywilne ubranie i za chwilę miałem minę spokojnego obywatela i wiernego poddanego. W Oksy przepędziłem parę tygodni, nic nie słysząc o powstańczych oddziałach i nie wiedząc co czynić dalej. Za każdem zbliżeniem się patroli moskiewskich, musiałem chować się po różnych dziurach, wątpiąc czy moja fizjognomja jest dostatecznie spokojna i bogobojna.

W takim stanie rzeczy, w początkach grudnia przyjeżdża pan P*** i pokazuje mi rozkaz naczelnika sił zbrojnych Województwa krakowskiego i Sandomierskiego Markowskiego, który po śmierci Chmclińskiego otrzymał tę zaszczytną ale nie zbyt godną zazdrości posadę, udać się z tą oto karteczką do Warszawy i złożyć ją w pewnem miejscu, nadmieniając przytem, że nie spodziewa się z mej strony odmowy, znając moje przywiązanie do sprawy, tem więcej, że tu idzie o rzecz nader ważną, wymagającą pośpiechu i pewności w doręczeniu we wskazanem miejscu, a co najważniejsza przywiezienia odpowiedzi, karteczka była maleńka, zapisana cała liczbami bardzo drobnemi. Rad nie rad, w obec tak natarczywego nalegania, oświadczyłem, że pojadę. Dostałem pieniędzy na drogę i tego samego dnia jeszcze, zaopatrzony w paszport jakiegoś wójta, jako gorzelany szukający miejsca puściłem się w tę arcyniebezpieczną podróż.

Jak się później przekonałem, paszport mój nie na wiele mógł mi się przydać, gdyż podług nowych papierów, nie miał wizy naczelnika powiatu i o mało, że pod Piotrkowem nie byłem aresztowany. Dzięki tylko przytomności pewnego obywatela i pijaństwu oficera moskiewskiego, udało mi się wydostać. W Piotrkowie uzyskałem wizę Naczelnika powiatu i tego samego dnia stanąłem o godzinie 9-tej wieczorem w Warszawie.

Na drugi dzień rano udałem się na wskazane miejsce, lecz nic zrozumiano mnie, obu-

dziłem nawet postępowaniem mojem pewne podejrzenie. Po dłuższem objaśnieniu nakoniec zgodzono się przyjąć odemnie karteczkę, którą miałem zaszytą w czapce. Posiedzenie to odbyło się w jednej z cukierni. Na drugi dzień rano odebrałem odpowiedź z upomnieniem natychmiastowego wyjazdu. Karteczkę schowałem w podeszwę u buta.

Wracając z powrotem, puściłem się innym traktem, dojechałem koleją żelazną do Skierniewic a ztąd furmankami. Taką miałem instrukcję wyjeżdżając z Warszawy. Dowiedziałem się później, że marszruta ta była praktyczniejszą, w Piotrkowie bowiem wszyscy podróżni na kolei ulegali najściślejszej rewizji i indagacji. Wiek mój i niejasno określony powód podróży mógł obudzić podejrzenia i narazić mnie na przytrzymanie i smutne następstwa.

Ze Skierniewic przez Łyskowice udałem się w dalszą drogę, odsyłany od dworu do dworu rzemiennym dyszlem. Przez całą podróż spotkałem się dwa razy z Moskwą, raz około Rokicin na nasypie drogi żelaznej, ale patrol kozacki tak był zajęty romansem z Niemkami, że mię nawet nie zaczepili, a drugi raz za Piotrkowem, w leśnej osadzie Taras. Tu wpadłem na bitwę z powstańczym piechotnym oddziałem Rudowskiego, który do tej pory trzymał się jeszcze w Samsonowskich lasach. Wpadłem na piechotę moskiewską biegnącą i krzyczącą hurra! nawet nie zważali na mnie, przelecieli jak burza. W oddali słychać było co raz gęstsze strzały,

o skutku jednak nie mogłem się dowiedzieć, gdyż natychmiast ruszyłem dalej i tego samego dnia przybyłem do Kurzelowa pod Włoszczową. Dziwna rzecz! pomimo że ta okolica była obsadzona gęściej jak inne Moskwą, jednakże w Kurzelowie czułem się śmielszym i bezpieczniejszym.

Na drugi dzień rano doręczyłem panu P*** odpowiedź, z którą się natychmiast udał dalej. Podróż moja tam i napowrót trwała dni jedenaście. Przejechawszy w połowie grudnia 1863 roku 25 mil kraju obsadzonego wszędzie wojskiem i patrolami, musiałem przyznać sobie, żem dokazał prawdziwej sztuki. Z powrotem dopiero dowiedziałem się, że wysłany byłem do Rządu Narodowego, z zapytaniem, czy utrzymywać nadal zbrojne powstanie, co jest prawie niemożebnem, czy też zaprzestać? Odpowiedź brzmiała: przedłużyć powstanie wszelkiemi siłami do wiosny.

Powstanie zostało rzeczywiście przedłużone, ale zupełnie nie skutkiem przywiezionego przezemnie rozkazu Rządu Narodowego, ale poprostu dla tej przyczyny, że garstki powstańców, więcej skompromitowanych, których czekała szubienica lub wieczny Sybir zapowrotem do domu, chcąc nie chcąc musiały się trzymać i ukrywać po lasach. Nie było punktu wyjścia dla tych biedaków i nie jeden przekładał śmierć z bronią w ręku, jak powolne a długie męczarnie. Do liczby takich potępieńców i ja należałem i nie chcąc być wcześniej lub później złapanym,

zmuszony byłem siąść na koń i przyłączyć się do jakiej gromadki włóczęgów i oczekiwać dalszych następstw, doli lub niedoli.

W okolicach Włoszczowy po moim przyjeździe z Warszawy, kręciły się niedobitki Chmielińskiego pod wodzą Rzewuskiego Napoleona, który się przezwał od herbu swego „Krzywdą“ i Bogusza, przenosząc się z miejsca na miejsce, jak dziki zwierz tropiony przez ogary. Jakoś w parę dni po Bożem Narodzeniu, dowiedziałem się, że Krzywda, który objął komendę po Markowskim, stoi niedaleko, mianowicie w Krzepinie. Siadłem przeto na koń i wyruszyłem jak prawdziwy awanturnik widocznie szukający guza, na każdym kroku narażając się na śmierć lub niewolę. Ujechawszy z pół mili, wstąpiłem do dworu w Dąbiu, chcąc się przepytać o nieprzyjaciela. Ledwie zsiadłem z konia, gdy dano znać, że kozacy we wsi. O ucieczce ani myśleć, gdyż konia odprowadzili do stajni, wbiegłem przeto do dworu, odpasałem szablę i rewolwer, i takowe wsunąłem za łóżko. Sam nie mając się gdzie skryć, gdyż dwór stał na odkrytem miejscu a i czasu już nie było potemu, usiadłem za stołem i zabrałem się do wniesionej kawy, zdając się zupełnie na przeznaczenie. Gospodarstwo w panicznym strachu stracili zupełnie głowę, obawa o mój los, obawa o siebie, czyniła ich prawie nieprzytomnemi. Katastrofa zdawała się być nieuniknioną.

Za chwilę ujrzeliśmy kozaków na podwórzu i oficer wszedł do pokoju. Gospodarz oprzy-

tomniawszy trochę, prosił go do kawy, oficer siadł i oświadczył, że szuka powstańców, że ludzi ma pomęczonych i chciałby trochę odpocząć. Pan M*** zaprasza go usilnie żeby odpoczął, pozwolił nakarmić swoich ludzi i popaść konie, na co zgodził się z ochotą. Przez cały czas gawędka była o powstaniu, oficerzyna, nie zły jakiś człowiek, dowodził, że powstanie już prawie skończone, że tułające się tu i ówdzie bandy, będą wkrótce ze szczętem wytępione, litując się nad ludźmi, których okoliczności postawiły w tak smutnem położeniu, dowodząc przytem, że najrozsądniej by uczynili, gdyby złożyli broń i rozeszli się do domów, polegając na wspaniałomyślności rządu, który jak mu się zdaje nie karałby tak surowo przestępców, jak sobie powstańcy wyobrażają. Do dysputy tej i ja należałem, potakując lub spierając się o zdania ze swym interlokutorem. Czy to zobowiązany gościnnem przyjęciem gospodarstwa, czy też, że nie znalazł nic takiego, coby mogło obudzić jego podejrzenie, a może po prostu przez pewien rodzaj delikatności tak rzadkiej w Moskalu, dosyć, że nie kazał nawet zrobić rewizji, chociaż po to przyjechał, i odjechał nie zapytawszy się nawet kto jest ten młody człowiek, co tu porabia i czem się zajmuje, jak to gdzieindziej robiono. Zapytaniem takiem byłby zmięszał gospodarza na pewno, jako nieprzygotowanego i rzeczy byłyby przybrały inny charakter. Widocznie była w tem wola

nieba, chroniąca mnie od niewoli i barbarzyńskiego obejścia.

Po wyjeździe kozaków odetchnęliśmy, winszując sobie nawzajem, i dopiero wtedy spostrzegliśmy, że byłem w spodniach kawaleryjskich, podszytych skórą i z ostrogami u butów. Zdjąć bowiem tego kostiumu nie było czasu. Poczciwa pani M*** będąc pod przykrem wrażeniem i w ciągłej emocji, tak osłabła, że musieli ją zanieść do łóżka, a ja przywdziawszy na siebie swój rycerski uniform, ruszyłem dalej, i w parę godzin złączyłem się w Krasocinie z oddziałem Krzywdy.

II.

Treść: Krzywda i jego oddział — smutny stan takowego — nasze marsze — charakter Krzywdy — wieści — utarczka w Krasocinie — wypadek mój i Lotkina — Markowski i Bosak — wyścigi z dragonami — rozkaz sformowania żandarmerji narodowej — los takowej — moja podróż i widzenie się z Bosakiem — powrót i wypadek w Tarnoskale — uchwycenie mnie przez Moskali pod Jędrzejowem — moja ucieczka — Popowice — złączenie się z Krzywdą.

Przybywszy do oddziału Krzywdy zostałem radośnie przyjęty od dawnych towarzyszów, którzy mieli mnie już za straconego od bitwy pod Bodzechowem, i ujrzałem nader smutny widok. Garstka siedmdziesięciu ludzi, znędzniałych, obdartych, leżała zagrzebana prawie w śniegu, z natężonym słuchem, uwagą zwróconą na każdy szelest. Mróz był straszny, a połowa ludzi nie miała kożuszków, kilku kozaków dostateczną było siłą do rozpędzenia tych na wpół zmarzłych wojowników, a ciągłe oczekiwanie tej smutnej alternatywy, było jedynem marzeniem i zajęciem tych nędzarzy. Przyjazd mój i powody,

które mnie skłoniły do wstąpienia napowrót w zbrojne szeregi, odebrały moim towarzyszom resztę nadziei — przekonali się, że jedynem dla nich schronieniem jest teraz las, jedyną przyszłością śmierć z bronią w ręku lub śmierć z zimna i głodu. Rozejść się było bardzo łatwo, ale gdzie się schronić? nigdzie!

Włóczyliśmy się przez cały miesiąc styczeń i luty, wśród najtęższych mrozów, ciągle ścigani i tropieni z wściekłością — i tylko dokładnej znajomości okolicy, w której każda ścieżka była nam znaną, zawdzięczaliśmy swoje ocalenie. Wymykaliśmy się, będąc nieraz otoczeni ze wszystkich stron, drożkami i wertepami gdzie tylko wilk i lis mógł się przedostać. Po większej części schronieniem naszem były lasy w okolicach Włoszczowy, Secymina i Jędrzejowa; bardzo rzadko udawało nam się przenocować gdzie pod dachem, zwykle bowiem wybieraliśmy odludne i niedostępne miejsca; samotna stodoła gdzieś na pustkowiu, domek, gajowego, zaszyty w posępnę puszczę leśną, były jedyną przystanią, gdzieśmy mogli chociaż chwilowo rozgrzać skrzepłe członki. Dzięki wielkiej troskliwości miejscowych mieszkańców, żywności mieliśmy dostatkiem, którą nam dostawiano zawsze, o ile, oczywiście to było możliwem. Dzięki też baczności tamtejszego obywatelstwa zawdzięczać winniśmy, żeśmy sto razy nie wpadli w łapy moskiewskie; o ruchach nieprzyjaciela byliśmy zawsze uwiadomieni.

Młody nasz dowódzca Napoleon Krzywda,

syn miejscowego obywatela, dobrym humorem, sympatyczną osobistością dodawał nam kurażu i otuchy, krzepiąc upadłych, rozweselając smutnych i ciesząc nas nadzieją pomyślnego obrotu naszej sprawy z następującą wiosną. Jak dalece jesteśmy łatwowierni, jak chciwi na najmniejszy błysk nadziei, jak chwytamy każdą nowostkę choćby wcale nawet nie była prawdopodobną, dowodem tego było ogólne prawie przekonanie w końcu lutego 1864 r., że z wiosną rozpocznie się powszechne, silniejsze jak dotąd powstanie, podtrzymane zbrojnem wdaniem się zagranicznych mocarstw; rozchodziły się słuchy o formujących się oddziałach na Litwie, Wołyniu, w Lubelskiem i Galicji, słowem po wszej ziemi polskiej. Zkąd te wieści powstawały — jakie miały źródło — i jakie podstawy? nie wiem, ale że tak było przekonywaliśmy się z nowego zapału znękanych niedawno niepowodzeniami mieszkańców — o niczem nie mówiono, jak tylko o wypowiedzeniu wojny przez Francją, o rychłem oczyszczeniu Polski z wroga. Były to ostatnie błyski zwodniczej illuzji, wyczerpujące do reszty kraj; dzielono się z nami ostatkiem, zastawiano się, wytężano wszelkie siły dla dopomożenia ogólnej sprawie, byle doczekać tej wiosny „brzemiennej nadziejami."

Że niejeden z nas nie zmarzł w śniegu, lub uciekając przed straszną nędzą, nie oddał się dobrowolnie w ręce moskiewskie, przypisuję to jedynie wyżej przytoczonym, kursującym wieściom; nabraliśmy nawet takiej raptownej od-

wagi, żeśmy alarmowali Kielce, w celu powiadomienia nieprzyjaciela, że powstanie istnieje, wzmacnia się i odpłaci sowicie za klęski i niepowodzenia przeszłoroczne. Tym wyskokiem rycerskiej odwagi przyśpieszyliśmy swój koniec. Wyprawiono drobne komendy kawaleryjskie z najsurowszym rozkazem użycia wszelkich środków do wytępienia nas — rozpoczęła się po prostu obława. W Krasocinie natknęliśmy się na partją Kozaków i w ten sposób, że obie strony wchodziły do wsi z dwóch przeciwnych jej końców. Cofnęliśmy się jak zwykle a kozacy puścili się za nami w pogoń. Blizkość lasu do którego śmy się schronili wstrzymała kozacki zapęd. W ucieczce ja, Lotkin i jeszcze jeden towarzysz, puściliśmy się inną drożyną jak cały oddział. Jadąc tak z pół godziny ujrzeliśmy koniec lasu, ale jakże zostaliśmy nieprzyjemnie zdziwieni, gdy w oddali, może o jakie pół wiorsty, ujrzeliśmy kilkunastu Kozaków jadących wprost na nas. Wrócić się było to samo, co wpaść na wrogów w tyle — skryć się w lesie z prawej lub lewej strony nie zbyt pewne, bo las rzadki, mogą spostrzedz, mogą usłyszeć tentent lub rżenie koni. Słowem koniec nasz zdawał się być nieuniknionym. Z tej ostateczności wybawił nas prawdziwie kozacki koncept Lotkina.

— Panowie — szepnął, dierżyties, róbcie, co ja wam każę a może się uda.

W obec nieuniknionego niebezpieczeństwa, człowiek przez instynkt czysto zachowawczy staje się odważny i ryzykowny — mieliśmy te-

go przykład na sobie. Kozacy nie widząc nas z poza drzew, podjechali nie dalej jak na 50 kroków, gdy Lotkin szepnął.

— Pany strielat' i krzyczeć głośno: hura!

Trzy strzały padły naraz i głośne hura zabrzmiało potężnem echem po całym lesie. Kozacy sądząc ze śmiałości niezwykłej, że wpadli na tysiące powstańców, kopnęli się nazad co koń wyskoczy, nie oglądając się nawet na nas.

Jednocześnie z nimi i my ruszyliśmy w drugą stronę, bokiem lasu, nie mając ani czasu ani ochoty śledzić za wrażeniami jakie wywarł na nich nasz fortel. Ujechawszy z milę, zatrzymaliśmy się około jakiejś chatki na skraju lasu a gospodarz takowej oświadczył nam, że jesteśmy niedaleko Mieronic. Na zapytanie, czy nie ma we wsi Moskali? zapewnił nas, że nie i że możemy z całem bezpieczeństwem jechać do dworu. W Mieronicach posiliwszy się i nakarmiwszy konie, wyruszyliśmy do Krzepina, gdzie podług zaciągniętych wiadomości miał się znajdować Krzywda. Wyjechaliśmy nocą, nie chcąc po raz drugi próbować napadu z fortelami i nad ranem, prowadzeni przez przewodnika manowcami, przybyliśmy do Krzepina. Tutaj miano nas za straconych — opowiadanie o wspólnej rejteradzie i strachu dwóch armji, było przedmiotem wesołej gawędki, facecji i żartów, które się przeciągnęły do samego rana prawie.

Alarmowanie Kielc było dokonane z rozkazu nowego Naczelnika sił zbrojnych Województwa Krakowskiego, Markowskiego, który obecnie

nie występował czynnie, lecz pod rozmaitemi przebraniami ukrywał się to tu, to ówdzie, kontrolując działania podwładnych mu dowódzców małych oddziałków i wydając rozkazy, które zwykle były niewykonywane z przyczyn niemożebnych i niezależnych od nich.

Jednocześnie z nim w okolicach Opatowa i Sandomierza, ukrywał się jenerał Bosak — lecz jaka była jego rola, dla czego mianowicie siedział w kraju ogołoconym już prawie z powstańców, nie mając komu rozkazywać — dla czego mogąc wyjść za granicę, jak to uczynił w miesiąc później, narażał się na codzienne, na dziesięciokrotne pochwycenie, tego wytłumaczyć sobie nie umiałem — przyczyny pobudzające go do tej opornej awanturniczości, zostały dla mnie po dzień dzisiejszy zagadką i sądzę, że pewien punkt honoru nakazywał mu pozostać w kraju dokąd jeden powstaniec był zbrojny i tym sposobem chciał zapewne wytrwać i wykonać plany i zamiary z góry wytknięte, choćby zamiary te miał przypłacić życiem. Ludzie z szlachetnemi ideami, z prawdziwem pojęciem o honorze muszą być uparci i raz obranej i wytkniętej drogi nie odstąpią, choćby takowa pełną była przepaści, gotowych ich pochłonąć na każdym kroku. Do rzędu takich ludzi, dziwaków jakby ktoś powiedział, widocznie należał nasz jenerał.

W kilka dni po wypadkach wyżej opisanych, natknęliśmy się w marszu na pikietę dragonów i po wspólnej wymianie strzałów, ruszy-

liśmy jak zwykle z kopyta w przeciwną stronę. Pamiętam było to jakoś w początkach marca, słońce przypiekało i nastały roztopy i szalone błota, zmykaliśmy po grząskiej ziemi, konie zapadały się po kolana i całe nasze szczęście, że konie moskiewskich dragonów, rosłe, tłuste, tembardziej grzęzły — to nas ocaliło. Wyglądaliśmy jak djabły, omaczani literalnie błotem. Po tych wyścigach skryliśmy się w lesie w Chyczy i tu dwa dni przebyliśmy spokojnie; tutaj Krzywda odebrał rozkaz od Bosaka i Markowskiego, aby sformował z dziesięciu ludzi oddział pieszy, tak nazwanej żandarmerji wieszającej, z oddaniem takowej w rozporządzenie Władz cywilnych. Nikt nie miał z początku ochoty, ale w końcu znalazło się ośmiu ludzi, szło teraz o zwierzchnika. Krzywda obrócił się do mnie, proponując przyjęcie obowiązków oficera żandarmerji, naturalnie, że propozycję tę, jako nie posiadający kwalifikacji na oprawcę, odrzuciłem z oburzeniem, ale znalazł się jakiś warszawianin, który się podjął tego, i przebrawszy się w dostawione w tym celu ubranie cywilne, uzbrojeni tylko w rewolwery, wyruszyli zaraz z obozu. W tydzień coś potem dowiadujemy się, że pana oficera wraz z trzema towarzyszami jego złapali w Popowicach około Jędrzejowa, a przekonawszy się ze znalezionych poleceń i nominacyjnego patentu, że to są żandarmi wieszający, w miejcu złapania, w godzinę potem, stosownie do instrukcji, powiesili. Honor ten oczywiście, gdybym się był godził być dowódzcą, byłby spotkał mnie. Bie-

dacy ci, nie wykonali jeszcze ani jednego wyroku, ale chęć starczyła za uczynek, i to w oczach moskiewskich naturalnie było winą.

W połowie marca, utrzymywaliśmy się już jedynie cudem boskim, po wszystkich bowiem miasteczkach, głównych traktach, nawet wsiach niektórych, stały drobne komendy wojskowe. Szlachcic jadący do sąsiada o milę drogi, mógł być pewnym, że w drodze parę razy spotka się z Moskwą, patrole kozackie i dragońskie snuły się nieustannie, a na dobitkę lud wiejski, dotychczas nam przychylny, widząc naszą sprawę tak źle stojącą i ponosząc często szkody z przyczyny powstańców tak materjalne jak i fizyczne, Moskale bowiem sypali baty i zabierali mu słomę, siano i chudobę, patrzał teraz na nas nieprzyjaźnie i ponuro, jako na sprawców złej doli, a niekiedy i denuncjował ukrywających się niedobitków. Przy takich okolicznościach, rachowaliśmy dnie i godziny, w których albo nas wybiją do nogi, albo ani się spostrzeżemy, jak wpadniemy żywcem w jaką matnię i wywieszają nas koleją. Nakoniec pewnego dnia, po ciągłych ucieczkach, Krzywda zrozpaczony swojem położeniem, oświadcza, że dalej egzystować niepodobna, że więc potrzeba o tem donieść Bosakowi i prosić o instrukcją co czynić nadal. W tem tylko pytanie, kto pojedzie z tem doniesieniem o 20 mil drogi, aż pod Sandomierz, gdzie Bosak miał się znajdować. Ten nie zna drogi, tego znów zbyt znają w okolicy, ów rzuca kwestję, czy Bosak jest w kraju, może wyjechał oddawna

za granicę, słowem nikt nie miał odwagi puszczać się w drogę, najeżoną istotnemi niebezpieczeństwami. Słysząc te odpowiedzi i kombinując sobie, że właściwie nic nie ryzykuję, gdy pojadę, bo złapać zawsze złapią, a czy mnie pochwycą z bronią w ręku, czy bez, to już wszystko jedno, oświadczyłem, że pojadę. Czy potrafię przebyć 20 mil kraju bez paszportu, w kraju gdzie każda niemal ścieżka jest strzeżona, tego nie zaręczam, ale będę próbował.

Tej samej więc jeszcze nocy, bez żadnej odezwy a jedynie z ustnem poleceniem, zostawiwszy broń i konia i przebrawszy się po cywilnemu, ruszyłem w drogę. Nie myślałem wtenczas, że zsiadłem z konia po raz ostatni, że tej szabli, którą dźwigałem 14 miesięcy, nie przypaszę więcej już do boku i że towarzyszom wojskowej doli, ostatni raz uścisnąłem rękę.

Przemykając się manowcami od dworu do dworu, to końmi, to piechotą, przebrany raz za parobka, to za lokaja, przejechałem 20 mil, nie spotkawszy ani razu Moskali. W końcu dobiłem się do jakiejś wioseczki, gdzie wedle zebranych przezemnie w drodze wiadomości, miał się ukrywać Bosak. Nie mając żadnych legitymacji, szlachcic któremu zameldowałem się i wyłożyłem powód mego przybycia, zmierzył mię oczami podejrzliwie i oświadczył, że on nie wie zupełnie gdzie Bosak może się znajdować, a zatem zadość uczynić mej prośbie nie może. Miarkując atoli z niechętnej jego odpowiedzi, badawczych spojrzeń i jakiegoś rodzaju niespokoj-

ności, byłem prawie pewny, że szlachcic wie o pobycie Bosaka, lecz z obawy zdrady, co i po części było słusznem, nie chce nic powiedzieć. Zaczynam przeto ponownie opowiadać mu cały opłakany stan rzeczy, rozpacz kilkudziesięciu ludzi, cytować nazwiska obywateli, którzy mi wskazali obecne miejsce pobytu jenerała, a w końcu wręcz mu powiadam, że jedynie obawa co do rzetelności i uczciwości mych zamiarów, niedozwala mu zaufać człowiekowi nieznanemu.

Nie wiem która z powyżej przytoczonych przyczyn wpłynęła na ostrożnego szlachcica korzystnie i przychylnie dla mego interesu, czy wreszcie w fizjognomji mojej dopatrzył się wyrazu szczerości i prawdy, dość, że zatrzymując mnie, oświadczył, że pojedzie dowiedzieć się o miejscu pobytu Bosaka, a w godzinę później wrócił z Markowskim, który mnie poznał od razu i kazał siadać z sobą na bryczkę. Przybyliśmy na jakąś polankę leśną, gdzie stał jeden domek gajowego i parę zabudowań gospodarskich. Miejscowości tej przypomnieć sobie nie mogłem, żebym ją kiedy widział, widocznie we włóczęgach naszych nigdy tu nie byliśmy. Było to niedaleko Sandomierza. Weszliśmy do chaty, zastałem Bosaka w czarnej czamarze, podszytej lisami, wysokich lakierowanych butach, siedzącego nad papierami. Od czasu gdym go ostatni raz widział pod Strojnowem, spostrzegłem w jego rysach ogromną zmianę, wprawdzie miał jak dawniej dumną postawę, zimne i sztywne obejście, ale bladość i pewna nabrzę-

kłość twarzy, zamglony wzrok i jakaś ociężałość, widocznie zdradzały w nim walkę i niepokój moralny, nurtujący go na wskróś.

Objaśniłem mu powód mojego przybycia, skreśliłem obraz wierny położenia garstki ludzi ściganych jak dzikie zwierzęta, prosząc o instrukcją, co mamy czynić nadal.

— Więc utrzymujesz pan, że jest niemożebnem dłużej wam się utrzymać, a ja tu właśnie otrzymałem zawiadomienie Rządu Narodowego, że w innych stronach kraju, powstanie wzmacnia się z każdym dniem. Najtrudniejsza była zima, przebyliśmy ją.

— Pozwoli sobie pan jenerał powiedzieć, że dotychczasową naszą egzystencję zawdzięczamy ostatniemu wysiłkowi miejscowego obywatelstwa, ale dziś, ze względu właśnie na nich, nie powinniśmy przedłużać powstania, obecnie są zniszczeni, a nawet przypuściwszy, że nam się uda potrwać jaki miesiąc jeszcze, to ich doprowadzimy do ruiny ostatecznej, bez żadnego notabene pożytku dla sprawy narodowej, dziś bowiem za każdego powstańca złapanego czy to z bronią czy bez, w domu obywatelskim, gospodarz podlega kontrybucji, zatem nie interes osobisty przezemnie przemawia, bo dla nas powstańców czy tak, czy siak, to wszystko jedno, zawsze nas pochwycą.

—Tak, to jest racja—odrzekł Bosak—jeżeli oczywiście tak jest, jak pan mówisz. Ale powstanie wzmacnia się, nie dozwoli z czasem na zniszczenie kraju, będzie go mogło bronić.

— To kwestja, panie jenerale, czy wzmacnia się? czy nas ogólnie nie łudzą, czy w Lubelskiem nie opowiadają o naszem powstaniu tego, co u nas o Lubelskiem lub Litwie, a jeżeli tam podobnie się rozwija jak u nas, to do czegoż doprowadzi!

Zamyślił się Bosak, a po chwili rzekł:

— Tak może być istotnie jak pan mówisz, robiliśmy, cośmy mogli i ile było w naszej mocy. Nie chcę i nie powinienem ludzi poświęcać fikcyjnym marzeniom, niczem nie zagwarantowanym i bez prawdopodobnych podstaw, nie chcę, aby mi robiono kiedyś wyrzut, żem kraj niszczył bez potrzeby, nie mając ani cienia nadziei. Rozejdźcie się panowie i radźcie sobie jak możecie.

— Prosiłbym pana jenerała, rozkaz ten dać mi na piśmie.

Napisał krótkie polecenie, przyłożył pieczątkę urzędową i podawszy mi rękę rzekł:

— Żegnam pana i życzę mu wszelkich pomyślności.

Wyszedłszy od Bosaka, udałem się z powrotem do tegoż samego szlachcica, przenocowałem tam, daną mi karteczkę wsunąłem w podeszew u buta i na drugi dzień rano puściłem się z powrotem temi samemi drogami. Peregrynowałem jak przedtem samemi tylko wertepami, ale już nie tak szczęśliwie. W Tarnoskale wjechałem na Moskali, samym wieczorem, na pikietę dragońską. Uciec już nie było sposobu, zaprowadzono mnie do dworu, gdzie znajdował się oficer dowodzący oddziałem. Ratunek mój

zawdzięczam tylko przytomności umysłu miejscowego administratora pana N***, który mnie znał, gdym bowiem jechał w tamtą stronę, odsyłał mnie swemi końmi do następnej stacji, wiedział zatem com zacz i po co jadę. Kiedy mnie wprowadzono do pokoju, nie czekając, aż mnie oficer zaczepi, odezwał się:

— Dobrze ci tak, nie trzeba było bałamucić do nocy; a żeby ci też był dragon przylepił parę bizunów — szkoda wielka, że tego nie zrobił!

I odwróciwszy się do oficera dodał:

— To mój pisarz, którego posłałem po odbiór okowity na folwark Malescowy.

Zrozumiałem, jak to mówią, pismo nosem; koncept był niezły, wreszcie nie było w czem wybierać. Zacząłem się tłumaczyć, zwróciwszy się do pana administratora, że takie a takie przyczyny zatrzymały mnie dłużej jak myślałem, kłamiąc oczywiście, co mi ślina do ust przyniosła. Oficer jednakże nie dowierzał, kazał mi się rozebrać i rzeczy moje przetrząść; kiedy mi zdejmowano buty, ciarki mi po skórze przeszły i oblałem się gorącym potem. Nie znaleziono jednak nic i oficer kiwnął głową, że mogę wyjść, ale pan N*** zatrzymał mnie i zaczął mi, w dalszym ciągu przyjętej przez nas roli, dawać dyspozycje, a mianowicie: że o 5tej rano mam z sobą wziąść trzy fornalki, wyjechać na folwark ten a ten i przywieść do Tarnoskały siana. Zrozumiałem, pokłoniłem się i wyszedłem. Dragoni nocowali tutaj. Pierwszy to raz byłem

w obozie moskiewskim jako spokojny mieszkaniec; nie wiedzieli poczciwcy, jakiego ptaszka mają pod swoim bokiem.

Zamiast o 5tej, jak to mieć chciała dyspozycja, wyjechałem o 4tej rano. Na pikiecie zatrzymano mię:

— Kto idiot — stoj!

— Za sienom dla was.

— Nu charaszo!

Czmychnąłem dalej.

Tak się skończyła historja Tarnoskalska. Przytomność i odwaga pana N*** w istocie była wielka, ale nieco ryzykowna. Gdyby się bowiem było spodobało panu oficerowi zawołać człowieka, który mnie przywiózł, i zapytać go się, zkąd przyjechaliśmy, naturalnie byłby powiedział, że z Komórek a nie z Malescowy. Niejednozgodność tłumaczenia musiałaby obudzić podejrzenie. Pan N*** oczywiście rachował nieco na swoją impozycją i głupotę Moskala — jakoż wygrał — a butelka, stojąca na stole, zapewne niepoślednio wpłynęła na łaskawe usposobienie inkwirenta.

Posuwałem się coraz dalej, z wszelką możebną ostrożnością, aliści na trzeci dzień po wypadku w Tarnoskale, dojeżdżając do Nieznanowic, widzę zdala piechotę ciągnącą się długim szeregiem, a wkrótce kilku kozaków, pędzących cwałem ku mnie.

— Stoj! kuda?

— Do Włoszczowy — odpowiedziałem.

— A paszport imiejesz?

Wstaję, zaczynam macać po kieszeniach, czy nie ma jakiego papieru; wyciągam Gazetę polską. Kozacy byli pijani, pokazuję im:

— Nu charaszo! a kto dał pasport?

— Pan jenerał Czengiery w Kielcach.

— Nu, pan — daj na wodku — a nie, to stupaj z nami.

— Pastojtie — posmotriu — jak mam diengi, to wam dam — a wot imieju diesiatku — natie!

Jeden z nich chwycił za dziesiątkę i kopnęli się jak szatani za oddziałem. Nie dowierzałem sobie, zdawało mi się koniecznie, że wrócą się z powrotem; kazałem więc skręcić na prawo i zamiast do Włoszczowy, puściłem się lasem do jakiegoś folwarku. Obawy moje były płonne — nie wrócili się. Teraz zacząłem wierzyć w moją szczęśliwą gwiazdę: odbyć kilkanaście potyczek i nie być rannym, to jeszcze nic nadzwyczajnego; ale wpaść dwa razy w łapy moskiewskie i wyjść cało, to należy do rzędu szalonego szczęścia. Weselszy, z dobrą otuchą, puściłem się dalej; takem się nawet ozuchwalił, żem w drodze nucił aryjki, wprawdzie bardzo cicho, ale za to każdy ton był wiernie oddany. Po drodze dowiedziałem się, że oddział Krzywdy znajduje się w okolicach Małogoszcza; trzeba się więc było wrócić. Wyjechawszy z Węgleszyna, ledwie przebyłem parę wiorst, widzę, sadzi kilkunastu kozaków wprost na mnie. Uciekać nie było gdzie, jadę umyślnie wolno.

— Stój — kuda?

— W Jędrzejów za pasportom — do naczelnika.

— Nu, charaszo, pojediem wmiestie (razem).

A tom się spisał! pomyślałem sobie — ale nie rozpaczajmy — a moja gwiazda! Było to już nad samym wieczorem. Przez drogę wypytują się mnie:

— A czto, był w bandie?

— Nie, nie był — odpowiadam — ja chory jestem.

— Da, wy wsie nie byli, a jej Bohu ja jewo widieł w bandie.

Niedobrze mi się zrobiło; kto wie, może psiawiara i poznał mnie rzeczywiście — pod Strojnowem, Czarncą, tak długo staliśmy naprzeciwko siebie. Prosiłem ich, aby mi pozwolili jechać naprzód — nie zgodzili się; mianowicie jeden, który utrzymywał, iż mnie widział w bandzie. Odpowiadając im piąte przez dziesiąte na czynione mi pytania i będąc zajęty rozmaitemi kombinacjami, jakby się oswobodzić z ich opieki, dojechałem tak do lasu, około Kanic, ciągle w ich towarzystwie. Ściemniło się zupełnie; las ten znałem doskonale, ciągnął się na kilkumilowej przestrzeni. Jechaliśmy ciągle stępa; kozacy jedni na przedzie, a drudzy w tyle. Snując różne projekta przez drogę, dochodziłem zawsze do tego przekonania, że będzie źle: mianowicie w Jędrzejowie. Myślę sobie: a gdybym zemknął?... Myśl ta uczepiła mnie się zawzięcie; jakoż był to na ten raz jedyny śro-

dek. Ciemno było straszliwe, las był gęsty, ucieczka możebna; lepiej zatem zaufać swojej zręczności i dobrym nogom, jak spuszczać się gnuśnie na moją szczęśliwą gwiazdę. Kozacy, jadący z tyłu, zostali może na jakie trzydzieści kroków; wyjąłem więc jedną nogę cichutko, następnie drugą, tak że nawet człowiek powożący mnie nie słyszał, jak stanąłem na stopniu i znalazłem się na ziemi. Rzuciłem się w krzaki; furman mój obejrzał się i stanął, kozacy przyspieszyli kroku, ale wskutek ciemności, nie spostrzegli odrazu mojej nieobecności. Usłyszawszy dopiero chrzęst łamanych pod memi nogami gałęzi, zwrócili się do bryczki i zobaczyli, że jadący po pasport, zemknął. Nie czekając więc długo, w kierunku łamanych gałęzi strzelili dwa razy; kula padła koło mnie w drzewo. Przycupnąłem cichutko około krzaka, bojąc się najlżejszym nawet szelestem zdradzić swoją kryjówkę i usłyszałem przekleństwa kozackie i krzyki mego stangreta, którego okładali batogami, nareszcie ruszyli dalej, zabrawszy z sobą i moją furmankę. W parę minut było jak w grobie, ale obawiając się, czy nie czatują na mnie, siedziałem pod krzakiem ze trzy godziny. Około godziny 9tej wieczorem puściłem się w drogę, chcąc się dobrać do jakiej drożyny. Szedłem tak ze dwie godziny, przedzierając się przez krzaki, gęstwinę, wpadając w rozliczne dziury, topiele, jamy; zaczęły mię siły opuszczać i już decydowałem się położyć się i czekać dnia, ale uszedłszy jeszcze kilkadziesiąt kro-

ków, wydostałem się na jakąś drogę i tą już swobodnie puściłem się dalej. Las się skończył, wyszedłem na pole i po kwadransie drogi ujrzałem jakiś młyn. Przypatrzywszy mu się bliżej, poznałem, że jestem w Popowicach; dowlokłem się do dworu i od tyłu zastukałem do okna. W owe czasy każdy mieszkaniec sypiał bardzo czujnie, nie było bowiem dnia i nocy, w którejby gospodarz nie był budzony to przez Moskali, to przez powstańców. Gdy poczciwy szlachcic wpuścił mnie i zapalił świecę, aż krzyknął z podziwienia na widok mojej osoby. Przedzierając się przez krzaki podrapałem sobie twarz, a pot zmięszany z błotem i krwią przyschniętą, nadawał mi pozór orangutanga lub dzikiego Irokesa. Tak byłem zmęczony, iż nie rozbierając się, rzuciłem się na sofę i przeleżałem do rana; gdyby mi nawet Moskal zajrzał w oczy, nie byłbym w stanie podnieść się. Około południa zaledwie zdolny byłem do dalszej drogi. Tutaj dowiedziałem się, że Krzywda znajduje się pomiędzy Krzepinem a Kurzelowem; puściłem się dalej i przybyłem do Oksy, gdzie zostawiłem mego konia i broń. Miałem zamiar uzbroić się i tak dojechać do oddziału, Kiedy zaprzątnięty jestem ekwipowaniem się, dają mi znać, że drogą od Dębia ciągnie jakaś kawalerja; za chwilę zobaczyłem, na wielką moją radość, że to Krzywda ze swoją garstką.

III.

*Treść: Utarczka pod Oksą — Krzywda jedzie do Krakowa — Anderlini — dalsza moja Odyssea — spotkanie z Karolem R*** — wypadek z jeleniem — nasze zamiary — mój pobyt w Przyłęku — Bogusz — Markowski i jego śmierć — moje ukrywanie się — wypadek w Łachowie i Kurzelowie — koniec mej karjery wojennej — powstanie w innych częściach kraju — zakończenie.*

Skoro przekonano się, że to Krzywda nadjeżdża, zrobił się ruch na dworze dla przyjęcia gości a ja na wpół ubrany oczekuję na konia; gdy naraz widzimy na drodze od Węgleszyna drugi oddział kawalerji, wjeżdżający już do wsi; wkrótce przekonaliśmy się, że to dragony.

Krzywda będący za górką nie widział ich, jak również i oni jego, dopiero zbliżywszy się do siebie na jakie sto kroków wzajemnie się spostrzegli; padły strzały i zaczęła się pogoń. Część dragonów puściła się prosto, a reszta chcąc przeciąć drogę do lasu, wpadła na podwórze dworskie, a ztąd łączką na przełaj ku lasowi. Byłoby im się udało, gdyby nie to, że łączka była bagnista i konie poczęły zapadać się po brzuchy.

Tymczasem ja, zrzuciwszy buty z ostrogami, w pantoflach, mając na sobie chłopską sukmanę, puściłem się z dworu na folwark. Nadjeżdżający dragon wstrzymuje mię i pyta:

— Ej, mużyk, zdieś przejedzie?

— Przejedzie! — odpowiedziałem.

Ruszył z kopyta i wnet zapadł się z koniem po brzuch — wrócił się napowrót wraz z kilkoma innymi i pognał drogą za resztą oddziału.

Krzywda wygnany na czyste pole, mając konie zmęczone, został doścignięty i rozbity ostatecznie — kilku dostało się do niewoli, kilkunastu raniono. Z 50 ludzi zaledwie dwudziestu ocalało. Krzywda tego samego dnia, nie czekając już decyzji Bosaka, po którą pojechałem, oświadczył, że rozpuszcza oddział, że niech każden myśli o sobie; sam zaś będzie chciał dostać się za granicę. Tak też zrobił i rzeczywiście udało mu się ppzebranemu dostać do Krakowa, gdzie już był bezpieczny. Resztki nie widziały literalnie co z sobą począć — włóczyć się dalej to pochwycą — siedzieć gdzie po domach, ten sam los spotka. Postanowili więc trzymać się ostatniego i przedostać się bądź co bądź do granicy austrjackiej. Komendę nad resztką, objął sławny awanturnik, eks-żołnierz z francuskiej legji zagranicznej, niejaki Anderlini, który od początku powstania tłukł się po całem królestwie, służąc z początku powstania w piechocie, a jak tej nie stało, w kawalerji— i on głównie wpłynął na ostatnie postanowienie trzymania się nadal zbrojnie.

Po całej tej katastrofie, to jest po odjeździe dragonów z Oksy, nic mi nie pozostawało jak najspieszniej uciekać, ale gdzie i jak? konno, oddział prawdopodobnie rozbity lub zagnał się Bóg wie gdzie — piechotą daleko nie zajdę, a okolica cała napełniona patrolami. W każdym razie w Oksie pozostać nie mogłem, gdyż dragoni na pewno wrócą, dla zabrania zapasów przygotowanych dla powstańców, i zrobienia rewizji, jak to mieli we zwyczaju. Ubrałem się przeto w jakieś palto gospodarza, wziąłem ze sobą rewolwer i przez łączkę puściłem się do lasu. Ledwiem dopadł takowego, gdy spostrzegłem, że przypuszczenia moje sprawdziły się. Dragoni otoczyli dwór w Oksy. Puściłem się ku Krzepinowi. Wychodząc z lasu, spostrzegam Krzepin ale i kozacką pikietę stojącą na drodze do lasu. Cofam się napowrót. Zaczęło się ściemniać; nie było innej rady, jak wyszukać sobie odpowiednie miejsce i przenocować. Idąc tak zamyślony, usłyszałem w gęstwinie jakiś szelest, wyjąłem rewolwer— i rozpatrzywszy się bliżej spostrzegłem osiodłanego konia przy drzewie a na ziemi człowieka. Podchodzę i widzę jednego z najlepszych mych kolegów Karola R*** Spał sobie jak najspokojniej. Obudziłem go i spytałem jakim cudem tu się dostał i co myśli robić dalej.

— A cóż, jechaliśmy do Dybia, i po drodze wpadliśmy prawie na nos dragonom, którzy się puścili za nami jak szatany. Gnali nas tak z milę drogi, a w ucieczce każden wybierał dro-

gę, jaka mu się wydawała dogodniejszą. Zaraz z początku skręciłem w bok — nie spostrzegli mnie i tu przycupnąłem — a co dalej mam czynić, co prawda, nie miałem czasu się nad tem zastanowić. Zmęczony, głodny jak pies, zasnąłem i tak mnie zastałeś — obecnie myślę tylko jakby można co zjeść, od wczorajszego wieczora nic w ustach nie miałem.

Opowiedziałem mu również moje przygody i w konkluzji uradziliśmy, że z lasu obecnie wyjść niepodobna, jeżeli miłe nam życie i swododa. Moskale naokoło czychają na rozbitków. Położyliśmy się spać — deszcz padał od dwóch godzin, tak, że wkrótce leżeliśmy w kałuży, lecz tak byliśmy zmęczeni i ubezwładnieni, że nam sił nie stawało podnieść się. Leżąc tak w półśnie, naraz spostrzegam nad sobą dwoje świecących oczów — zdawało mi się że marzę — poruszyłem nogą i naraz usłyszałem przeraźliwy krzyk i widmo zniknęło. Towarzysz mój sądząc, że to nieprzyjaciel, zerwał się na równe nogi. Był to jeleń, który żerując sobie swobodnie po lesie, wszedł na nas — z początku obserwował, a w końcu przestraszony mojem poruszeniem, uciekł z wielkim krzykiem. Był to zresztą bardzo naturalny wypadek i nie było się czem przestraszać — cóż powiecie na to, na ten bek jego rozlegający się przeraźliwie po lesie, taki nas paniczny i zabobonny strach opanował, że dostaliśmy literalnie febry, kłapiąc zębami jak zgłodniałe wilki. Oczywiście, że osłabienie fizyczne i nastrój moralny wpłynął tak niefor-

tunnie na nasze nerwy. Deszcz lał ciągle. Nad ranem byliśmy tak przygnębieni, wystraszeni, zziębnięci do szpiku, że gdybyśmy zobaczyli nad sobą bagnet nieprzyjacielski, nie wiem czy zdołalibyśmy się poruszyć — gotowi byliśmy przyjąć każdy los jednakowo.

Około godziny 8. rano, usłyszeliśmy czyjeś kroki, a nie długo stanął przed nami człowiek, w którym poznaliśmy miejscowego gajowego. Ten nas objaśnił, że Moskale odciągnęli do Włoszczy i radził nam udać się do jego chałupy, dla ogrzania i wypoczynku. Podniósł nas z ziemi i doprowadził do mieszkania o parę wiorst oddalonego. Tutaj przebyliśmy półtorej doby, wysuszeni i odkarmieni. Towarzysz mój miał zamiar przedostać się do Oksy, i oczękiwać przyszłości — ja zaś udałem się do Krzepina a ztąd do Przyłęka.

Poczciwy szlachcic, nie bacząc na rozporządzenia moskiewskie, które nakazywały dom, gdzie złapany będzie powstaniec, okładać kontrybucjami a samego właściciela aresztować, przyjął mnie jak najserdeczniej. Na nocleg wyprawiono mnie do owczarni, pomiędzy sterty słomy, gdzie spałem jak na najpyszniejszem łóżku. W Przyłęku przebyłem kilka dni — jednej nocy słyszę głos mego gospodarza, że przyjechali po mnie z oddziału Bogusza, który się jeszcze trzymał i obecnie stojąc w Węgleszynie, przysłał po mnie nieśmiertelnego Lotkina, który się znajdował w jego oddziale, z rozkazem stawienia się zbrojno do oddziału. Myślałem że żartują,

ale poseł oświadczył mi że nie, że mię siłą zmusi do tego. Pojechałem więc, ale bez broni. W Węgleszynie zastałem na podwórzu ze 40 koni — a pan Bogusz oświadczył mi, że są u niego wakujące miejsca i ma nadzieję, że wstąpię do jego oddziału. Na to odrzekłem mu, że przeciwnie się rzeczy mają, że ani myślę występować zbrojno, z tej uwagi, że dalsze nasze włóczenie się, oprócz ostatecznego zniszczenia mieszkańców, do żadnego rezultatu nie doprowadzi, w końcu zakomunikowałem mu rozkaz Bosaka, który ciągle nosiłem przy sobie, upoważniający nas do rozejścia się. Po przeczytaniu takowego, Bogusz zamyślił się i rzekł:

— Tak, łatwo to powiedzieć, rozejdźcie się, ale gdzie? — ano to już niech każdy myśli o sobie, jak mu spryt i rozum dyktuje.

Pożegnaliśmy się i zaraz pojechałem z powrotem do Przyłęka. W kilka dni potem Bogusz został napadnięty koło Jędrzejowa czy Kielc i rozproszony ze szczętem; część zabito, część dostała się do niewoli, kilku tylko wraz z dowódzcą ocalało. Jaki zaś był ich los — nie wiem. Prawdopodobnie zdołali ujść za granicę.

Na drugi dzień po południu, tylko cośmy wstali od obiadu, służąca zawiadomiła nas, że przyszedł jakiś owczarz starający się o służbę. Wprowadzono go, w owczarzu poznałem Markowskiego, Naczelnika sił zbrojnych Województwa Krakowskiego i Sandomierskiego. Gospodarz, pan M***, nie poznał go. Po wyjściu służącej przystąpiłem powitać go. W chłopskiej

sukmanie, w prostych butach, szedł piechotą z pod Sandomierza i tylko temu kostjumowi zawdzięczał, że dotąd nie został przytrzymany. Błąkał się biedak bez celu, bez wyraźnego i określonego zadania, obarczony plikami poleceń i instrukcji Rządu Narodowego. Między innemi, kazano mu na gwałt z wiosną formować oddziały zbrojne, sztyftować pułki, napadać na Moskali w ich stanowiskach, słowem dawano rozkazy, jedne od drugich bezsensowniejsze (?) i niepodobne do wykonania nawet dla szalonych dzieciaków. O ile zaś poznałem Markowskiego, mógł to być dobry żołnierz, ale nie organizator w okolicznościach tak trudnych, jak ostatnie powstanie w Polsce. Dowiedział się od nas, że ostatni prawie oddział zbrojny Krzywdy został przed kilku dniami rozproszonym. Zdawało się, że przewidywał to, gdyż nie okazał najmniejszego zdziwienia ani smutku. Przenocował w Przyłęku i na drugi dzień rano, nie zwierzając się ze swoich projektów nikomu, puścił się w dalszą podróż. Domyślałem się tylko, że dążył ku granicy. W kilka dni dowiedzieliśmy się że zatrzymany został przez chłopów w pewnej karczmie pod Opatowem a zdradził się tem, że miał skarpetki na nogach. Odstawiono go zaraz do najbliższej komendy wojskowej — tutaj po dokonanej rewizji, znaleziono przy nim zaszyte w ubraniu polecenia Rządu Narodowego, które go jasno potępiały i przedstawiały jako naczelnika sił zbrojnych. Tak ważnego przestępcę, polecono odprowadzić do głównego naczelnika

wojennego w Radomiu, jenerała Bellegarda. W drodze Markowski przewidując, że badania jakie przedsięwezmą Moskale, mogą skompromitować dużo osób, a nie dowierzając swojej wytrwałości i odwadze, oraz znając okrucieństwo moskiewskie i chytrość ich w podobnych razach, postanowił odebrać sobie życie. Za całą broń miał przy sobie dużą chłopską igłę, którą wpakowawszy sobie całą w piersi, zadrasnął nią serce; w parę godzin już nie żył. Nieszczęśliwemu temu dowódzcy, nie już jako męczennikowi sprawy narodowéj, ale jako człowiekowi silnej woli i szczytnego charakteru, należy się cześć i zaszczytne wspomnienie u rodaków.

W Przyłęku, Oksie, Dąbiu i innych wioskach ukrywałem się do pierwszych dni maja. W ciągu tego czasu dnia prawie nie było, żeby jakiś patrol nie zajrzał i nie zrobił rewizji. Na wieść przeto, że Moskwa jedzie, kryłem się po owczarniach stodołach, a czasem, w razie większego niebezpieczeństwa, urządzałem drapaka do pobliskiego lasu — i niejedną noc spędziłem tam w niecierpliwem oczekiwaniu, aż mnie ktoś powiadomi o bezpieczeństwie i możebności powrotu. Stan ten i smutna w perspektywie przyszłość, wprawiały mnie w prawdziwą rozpacz; czułem przytem, chociaż mi tego nie okazywano, że gospodarz byłby niewymownie rad, gdybym go uwolnił od mojej osoby, a zarazem od ciągłego strachu.

Nareszcie jednego dnia otrzymałem wiadomość, że wyszedł ukaz carski, ogłaszający prze-

baczenie win wszystkim powstańcom, którzy zameldują się dobrowolnie i wykonają przysięgę, że będą nadal wiernymi poddanymi. Na razie zdawało mi się to niepodobnem, straszną podłością, oddać się dobrowolnie, prosić przebaczenia i lizać stopy tych, których z przyjemnością by się szarpało. Postanowiłem więc ukrywać się dalej i czekać, co mi los zgotuje, a nie chcąc być ciężarem i wiecznym niepokojem dla biednej szlachty, umyśliłem bądź co bądź przedostać się do Warszawy, rachując na to, że tam, w takim chaosie i natłoku ludzi, jak nie spostrzegli żem wyszedł, tak nie zauważą i przyjścia mojego — przycichnę gdzie u znajomych i może się uda wyjść cało.

Pożegnawszy się z gospodarstwem i podziękowawszy im za ich gościnność i serdeczne współczucie, puściłem się w drogę. Odesłano mnie do Łachowa; tutaj ledwie że przywitałem się ze szlachcicem i zacząłem się mu zwierzać z moich zamiarów, gdy nagle spostrzegliśmy, że cały dom otoczony został przez dragonów. No, pomyślałem sobie, przyszła kreska na Matyska — cofnąłem się do drugiego pokoju. Za chwilę usłyszałem brzęk ostróg i szabli i oświadczenie oficera dowodzącego, że przyjechał dokonać rewizji. Rozkład dworu w Łachowie był tego rodzaju, że z pokoju do pokoju przechodząc, można było cały dom obejść wewnątrz do koła. Weszli z pierwszego pokoju do drugiego, ja cofnąłem się do trzeciego; oni do trzeciego, ja do czwartego i w końcu znaleźli się w pierwszym,

a ja w drugim. Gdyby jednemu z nich przyszła myśl pozostać lub pójść w przeciwną stronę, byłby się ze mną zeszedł i konkluzja do przewidzenia. Bawili z godzinę; oficerowie zjedli śniadanie i wyjechali, nie znalazłszy ani jednego powstańca. Szlachcic z początku myślał, żem się jakim cudem ulotnił; na mój widok osłupiał, ale kontent, że tak szczęśliwie się powiodło, zaraz przyszedł do siebie, uściskał mnie, ale swoją drogą kazał założyć jak najprędzej do bryczki i wywieźć ten arcyniebezpieczny fant za granicę swych posiadłości.

Zaufany w swoje szczęście, puściłem się dalej i przybyłem do Kurzelowa, małej mieściny — lecz, o losie złowrogi! wjechawszy na rynek, zobaczyłem rozpalone ogniska i ćmę żołdaków w około. Basta! myślę sobie, teraz się bratku nie wykpisz, teraz cię pewnie przycupią, widocznie feralny jakiś dzień. Ale z tem wszystkiem, myślę sobie, że wedle zwyczaju, oficerowie są zapewne we dworze, nie tracąc przeto fantazji, kazałem człowiekowi jechać do miejscowego proboszcza. Moskale nie podejrzywając w tak śmiało wjeżdżającym powstańca, nie zaczepili mnie nawet. Wchodzę do proboszcza, kontent z mego sprytu i widzę na kanapie... oficera moskiewskiego. Mimowolnie uśmiechnąłem się na taką ironię losu, witam wystraszonego bajecznie proboszcza i z dobrą miną zaczynam gawędkę, która, pomimo całej mojej elokwencji, niepodtrzymywana przez gospodarza, rwie się co chwila.

Oficer zmierzył mnie od stóp do głów, ale do rozmowy wcale się nie mięszał, bawiąc się widocznie zakłopotaniem gospodarza i mojem gorączkowem gadulstwem. Naraz podnosi się i pyta mnie:

— Pan zkąd jest?

— Tutejszy oficjalista — odpowiadam.

— A pan zkąd jedzie obecnie?

— No — pomyślałem sobie — zaczyna się indagacja na dobre. — Z Łachowa, gdzie jeździłem za kupnem kartofli — odrzekłem głośno.

Pan oficer uśmiechnął się i umilkł — po chwili przerywa mi gawędkę, którą starałem się wszelkiemi siłami zawiązać i zwrócić na obojętny przedmiot, zapytaniem:

— Pan byłeś w powstaniu?

— Nie, nie czułem w sobie nigdy ani odpowiedniego męztwa, ani chęci.

— Słowo honoru pan może na to dać?

Takiego zagadnienia nie spodziewałem się — spostrzegł moje wahanie i ponownie mnie spytał:

— Słowo honoru, pan nie byłeś w powstaniu?

Rzecz stanęła ostro.

— Byłem — odrzekłem — a nawet powiem panu więcej, że obecnie tylko co wracam z powstania; możesz pan ze mną zrobić, co mu się podoba.

— A jak pan myślisz, co ja z panem zrobię?

— Przyznam się panu, że nie mam chęci bawić się w odgadywanie zagadek; przygotowany jestem na wszystko złe, dobrego bowiem spodziewać się nie mogę.

— Mylisz się pan — odrzekł oficer wyciągając ku mnie rękę i ściskając mnie serdecznie — próbowałem tylko pańskiego honoru i chciałem wiedzieć, kto pan jesteś właściwie i na co zasługujesz; oświadczam przeto panu, że jesteś wolnym zupełnie i nie podpadniesz żadnej odpowiedzialności. Wydam panu świadectwo, żeś się dobrowolnie stawił, z którem pojedziesz do Kielc dla wykonania przysięgi i odebrania pasportu na drogę. Gdybyś się pan był zaparł i dał na to słowo — ha! nie wiem, ale zdaje mi się, że byłbym się z panem obszedł jak z wielu pańskimi kolegami, po... jak wy nazywacie, barbarzyńsku.

Skłoniłem głowę przed tym łaskawym wyrokiem, dziękując mu za względy, do których nie miałem prawa, i obiecując się zastosować do instrukcji w zupełności. Księżyna uradowany szczęśliwym obrotem rzeczy tak się rozczulił, że postawił gąsior zapleśniały i ściskając nas po kolei, nie chciał wypuścić, dopóki się dno nie pokazało. Nazwisko tego oficera dziś mi wyszło z pamięci, ale było czysto moskiewskie i zdaje się, że służył w piechocie.

Taki był koniec mego rycerskiego zawodu.

Rozwiązaniu nie towarzyszyła żadna smutna katastrofa, jakiej tylu innych mych kolegów i znajomych uległo. Uniknąłem szczęśliwie kuli, szubienicy, Sybiru i knutów kozackich; widocznie szczęśliwa gwiazda towarzyszyła mi przez cały ten czas i wyprowadzała mnie szczęśliwie z trudnych okoliczności. Pamiętam, że w ciągu mej wojaczki jednego tylko się bałem: być rannym. Być zabitym, niewielka rzecz, ale pozostać bez ręki, nogi, kaleką i niedołęgą na całe życie — to straszny los!

W ciągu niespełna dwóch tygodni po mojej aferze w Kurzelowie, tułające się tu i ówdzie resztki zostały wyłapane. Kolega mój, Karol R***, z którym wystraszyliśmy jelenia, wzięty został w uzbrojeniu, śpiąc w lesie; jakiś młody człowiek, którego nazwiska nie pamiętam, wpadł na kozaków pod Włoszczową i nie mając nadziei uciec, strzelił sobie w łeb; mała garstka, i to więcej skompromitowanych, których czekały katorgi lub stryczek, dostała się za granicę. Kozak Lotkin, pochwycony w chałupie gajowego, broniąc się, ubił pięścią żołnierza — został rozstrzelany. Anderlini, ostatni dowódzca oddziału, umknął szczęśliwie do Krakowa. Wszystkich tych, którzy nie zameldowali się dobrowolnie, a byli pochwyceni, naczelnik wojenny Bellegard kazał na miejscu złapania powieszać — i tych doraźnych wyroków w ciągu paru tygodni spełniono 60! Najwięcej padło ofiarą z oddziału Bogusza i Rudowskiego, który ze swo-

ją piechotą trzymał się prawie do maja, w Samsonowskich lasach koło Suchedniowa.

W inmych częściach kraju, oprócz słaniających się tu i ówdzie pojedyńczych żandarmów, ze zbrojnego powstania i śladu nie pozostało. W Podlaskiem tylko ksiądz Brzosko z kilkunastoma ludźmi trzymał się w niedostępnych miejscach, zawdzięczając to jedynie chłopstwu, na których miał wielki wpływ. Za to Moskale swobodnie i z niezmordowaną cierpliwością kata, zaczęli rozwijać swoje śledztwa, indagacje, nakładać kontrybucje i urządzać byt włościan, rujnując systematycznie szlachtę, jako żywioł niedający się niczem ugłaskać i będący tym samym powodem do ciągłych zaburzeń i buntów, wstrętnych dla duszy każdego Moskala, nieprzywykłego do samoistności i nieprzypuszczającego nawet, aby mógł o swoich siłach i bez powodyra ten świat toczyć swoje dzieje.

W kilka dni po wypadku w Kurzelowie udałem się do Kielc i zameldowałem się Bentkowskiemu, naczelnikowi wojennemu; zaprowadzono mnie do przysięgi i w godzinę wręczono pasport. Obecny temu naczelnik żandarmów wypalił mi długie kazanie z życzliwą radą, abym takowego nigdy nie zapomniał w interesie moim własnym. Przeszedłszy tę łaźnię, wyleciałem z grożnego biura jak z procy, a nie dowierzając zupełnie tej laskawości, przedewszystkiem zamówiłem sobie miejsce w kurjerce. W dwie godziny byłem już w drodze, a na drugi dzień,

po 15 miesiącach awanturniczego żywota, znalazłem się w domu rodzicielskim cały i zdrów.

Tak kończę opis moich wypadków, z tem przekonaniem, że pobicie i pokonanie nas przez wroga w r. 1863 nie stanowi jeszcze o naszych losach i naszej przyszłości. Są w nas siły, których nie spożyją wrogowie nasi.

KONIEC

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
W GLIWICACH
SP 22941